

Rok VII.
Kraków, dnia 28 września 1913 r.
Nr. 39.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 3 do 6. Telefon nr. 2346.

Dobra matka.

Prawdziwie dobra matka, to nie taka, która, tkliwie do dziecka przywiązana, o to się tylko stara, by ono miało wygody i ulubione rozrywki, albo która swemu dziecku na wszystko pozwala, czego mu się zachce. Matka dobra, to ta, która ponad wszystko kocha w dziecku jego duszę, to, co w dalszem życiu jego stanowić będzie o jego doli, o godności.

Bywały w świecie matki, które nieraz zboczyły nawet same z prawej drogi życia, a jednak rozważywszy, że mają być wychowawczyniami tych drobnych istot, które mają obowiązek strzedz i kierować — opamiętały się, pojęły swój macierzyński obowiązek i z odwagą wzięły się do dobrego prowadzenia dziatek, pragnąc, aby te przynajmniej na złe drogi nie zeszły. Tembardziej te kobiety, które miały dobre przykłady w życiu i to szczęście, iż je Bóg uchronił od błędu i upadku, niech rozważą, iż największe dobro, jakie mogą dać swym dzieciom, to nauczanie ich, w jakim celu żyją na świecie, co winny Bogu i bliźnim i gdzie mają czerpać siłę duszy, aby zwyciężyć w walce życia, by umieć wybrać między dobrem a złem i stać silnie przy cnocie i obowiązku.

Każde dziecię przynosi z sobą na świat jakieś zdolności większe lub mniejsze i jakieś skłonności lepsze lub gorsze, i właśnie obowiązkiem tej, co je wychowuje, jest to, żeby owe dobre właściwości rozwijać i pielęgnować, przez co samo już nieraz złe narowy ustępują. Nie zaniechać też tego, co złe ganić, i gdy trzeba, karcić. Trzeba pamiętać i dziecku przypominać, że nie dość starać się o zapewnienie sobie dobrego bytu, ale dążyć do tego, by duszę, to Boże tchnienie nieśmiertelne, czystą od skazy zachować, a czerpiąc z nieba moc i natchnienie, bliźnim dobrze czynić.

Matka i o tem też zapominać nie powinna, że zdać musi z wychowania dziecka rachunek przed Bogiem, przed społeczeństwem, a nawet przed tym człowiekiem, który wyrośnie z tego dziecka, a który mógłby kiedyś zarzucić, gdy wyrośnie i rozum będzie miał dojrzały — że go nie tak wychowała, jak była powinna, że go od złego nie odwodziła, które mu potem życie skaziło.

Dziecko, którego wychowanie było niedbałe, któremu na zachcianki zezwalano, wyróść musi niechybnie na nieczułego i samolubnego człowieka. Gdy go nie nauczono ofiarności na korzyść bliźnich, cnoty, poświęcenia, wtedy żadna szlachetna myśl nie dojdzie mu do duszy, żadne poczciwe uczucie do serca, nawet prostych cnót uprzejmości, gotowej do usług, wyrozumienia — i choćby małej ofiary — już mu nabyć będzie trudno.

Są na świecie istoty czystego i gorącego serca, które za podstawę do własnego szczęścia uważają szczęście drugich. Gdyby wszystkie matki wszczepiły to samo uczucie w serca synów i córek, nie byłoby na świecie tylu zbrodni, nienawiści, sobkostwa, zazdrości, podstępów, chciwości, pychy i niezgody. Matka dobra niech przedewszystkiem usiłuje uczynić z młodej istoty obraz i podobieństwo Boże, niech ten człowiek przez nią wykształcony, zahartowany będzie do boju życiowego, nie ulęknie się pracy, nie cofa się przed trudem, a stanie się użytecznym członkiem społeczeństwa. Według zdania, że »miłość wszystko może«, każda matka dobra, zdolną jest dosięgnąć celu, trzeba tylko, aby umiała kochać prawdziwie swe dziecię, by je przygotowywała do życia, otwierając przed oczyma jego duszy to, co je w życiu spotka i to, co ma w niem czynić.

Człowiek, dobrze wychowany, zawsze wywiąże się dobrze z przyjętego obowiązku, bo go przyuczono, że ma być robotnikiem sumiennym w każdej gałęzi pracy, jakiej się podjął, prawym ojcem swojej rodziny i pożyteczną jednostką swego społeczeństwa, które tylko dzielnych i uczciwych ludzi potrzebuje.

Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

52. STRASZNY KONIEC.

Ścigani przez wroga. — Raport Burczymuchy. — Pozwolenie pułkownika. — Zgliszcza i trupy.

Przez pozostałą resztę dnia byliśmy ścigani uparcie, ale w nocy, zdołaliśmy zatrzeć za sobą ślady. Cały dzień następny z małymi odpoczynkami maszerowaliśmy lasami, po najgorszych drogach, wśród deszczu i zimna, i dopiero późnym wieczorem, niesłychanie znużeni i zupełnie zdezorganizowani, zatrzymaliśmy się obozem, wśród głuchego boru, w skalistym wąwozie. Gdzie w tej chwili znajdowaliśmy się, nie miałem pojęcia. Pozostawałem ciągle przy trzecim batalionie »chłopskim«, który po krwawej walce, jaką stoczył z jazdą nieprzyjacielską i po uciążliwym marszu o chłodzie i głodzie, trzymał się najdzielniej i prawie nie miał maruderów. Ale też, pozostając przy tym batalionie, nie mogłem mieć żadnych wiadomości ani o zamiarach wodzów, ani o tem, gdzie się znajdujemy.

W nocy obudziłem się i począłem wsłuchiwać się w monotonny plusk deszczu. Myślałem o Józefinie, o dziwnych naszych losach, i ogarnęła mię nieprzeparta tęsknota. Nie ukrywałem bowiem przed sobą, że powstanie widocznie ma się ku upadkowi, a rozprzężenie, w jakiem znajdował się oddział generała, nie rokowało nic dobrego. Dlatego też słusznie mogłem wątpić o rychłem zobaczeniu się z Józefiną, zwłaszcza, że zdawało mi się, iż ostatnie marsze rzuciły nas w zupełnie inną okolicę, w tę stronę południową gór Świętokrzyskich, podczas gdy Bardo znajdowało się na północnym ich stoku. Bądź co bądź jednak postanowiłem nazajutrz rano udać się do sztabu i zasięgnąć języka, gdzie się właściwie znajdujemy.

Nad ranem zasnąłem powtórnie mocno i obudziłem się dosyć pózno. Gdym wyszedł z szałasu, zobaczyłem już cały obóz w ruchu, ale nie zanosiło się na to, byśmy mieli wyruszyć. Deszcz ustał, choć dzień był pochmurny. Żołnierze myli się, prali bieliznę, spali, a przy licznych ogniskach stały kotły z gotującą się strawą. Szedłem przez obóz, gdy nagle spotkałem Burczymuchę, którego jako starego ułana wcielono do jazdy. Szedł uzbrojony i zobaczywszy mię, salutował i mówił:

— Szukam pana porucznika.

— Co takiego? o co idzie?

— Mam ciekawą nowinę. Ale chodźmy gdzie na bok, bo tu za dużo uszów.

Skręciliśmy w głąb lasu, a on mi, swoim zwyczajem, szeroko począł opowiadać, że o świcie wysłano go na podjazd, na czele pół plutonu jazdy, z rozkazem dotarcia do miejscowości, gdzie widziano nieprzyjaciela i zasięgnięcia języka.

— Pojechałem tedy, mopanku — opowiadał dalej Burczymucha — ale powiadam panu porucznikowi, że lepiej hyclem zostać i psy w Warszawie łapać, jak taką jazdą dowodzić. Tchórze to, źle się trzymają na koniach, smyki ostatnie i szewcy. Ale cóż, rozkaz jest, więc jadę, a krótko trzymam mych zuchów i gadam im przez drogę, że jak który stchórzy, jak Bóg na niebie, sam mu w łeb wypalę, więc...

— Mniejsza z tem, mów co mi masz powiedzieć.

— Ano cóż... mopanku... ot powiem poprostu, widziałem tego zbója Jana...

— Gdzie? gadaj zaraz!

— Otóż to... gdzie?... czy ja wiem gdzie, dość, że go widziałem.

Tu zaczął szeroko i długo opowiadać, jak spotkał pięciu lekkich jeźdźców rosyjskich, jak oni, zobaczywszy go, uciekli, jak ich gonił kawał drogi, jak pod jednym z nich koń się związał i padł. Nim jednak zdołał na zmęczonej swej szkapie dopaść do niego, już jeździec się zerwał, wdrapał się z kocią zręcznością na wysoką skałę, odwrócił się i język Burczymusze pokazał. W jeźdźcu tym mój dzielny wachmistrz poznał Jana i nawet zawołał na niego, a Jan miał mu odpowiedzieć:

— Tak, to ja! usłyszycie o mnie wkrótce! i zniknął w nieprzebytym gąszczu.

Wiadomość była bardzo ważna i dowodziła, że Jan zdradził.

— Więc hultaj widocznie nas zdradził.

— Nie inaczej. Mnie się ten szelma nigdy nie podobał i zawsze miałem go w silnem podejrzeniu. I wie pan porucznik co? Zdaje mi się, że Bardo stąd jest niedaleko, że i Jan dlatego się tu kręci. Djabli wiedzą, co on mógł zrobić z naszemi paniami.

Wiadomość ta, a zwłaszcza to ostatnie przypuszczenie, zrobiło na mnie piorunujące wrażenie. Jakieś straszne przeczucie grożącego mi nieszczęścia owładnęło mną i na chwilę straciłem prawie przytomność od niewypowiedzianego bólu serca. W jednej chwili powziąłem plan i postanowiłem go wykonać.

— Czy generałowi złożyłeś raport o wszystkiem?

— Tak... jakżeby inaczej. Wracam ze sztabu.

— I cóż?

— A nic. Generał powiedział: Dobrze i na tem koniec, mopanku...

— Nie odchodź nigdzie, żebym cię mógł zaraz znaleźć. Będziesz mi potrzebny.

— Dobrze. Będę przy moich ludziach.

— Czekaj na mnie!

To rzekłszy, pobiegłem do sztabu. Mieścił się on w samotnej szopie na siano, na pół zrujnowanej, stojącej nad strumykiem, na niewielkiej łączce wśród głuchego boru. Biegłem tam z wielką niechęcią, nie wiedząc jak się przez gromadę pieczeniarzy przedrę do generała, gdy na szczęście przed szopą spostrzegłem pułkownika. I on mię zauważył, a twarz moja musiała wyrażać straszną rozpacz, bo zawołał:

— Jak się masz, poruczniku? ale co tobie? co się stało?

Poprosiłem go o chwilkę rozmowy na osobności i przedewszystkiem spytałem, gdzie się obecnie znajdujemy.

— W górach Świętokrzyskich — rzekł — ale dlaczego pytasz o to?

— Mój pułkowniku, bardzo mi wiele zależy na tej wiadomości. Czy nie wiesz czasem, jak daleko stąd do wsi Bardo?

— Bardo! Bardo! znam to nazwisko... ale czekaj, zobaczymy zaraz na mapie.

Zawołał swego adjutanta, który w blaszanej rurze nosił mapy na plecach i na moje wielkie przerażenie a zarazem radość, przekonałem się, że obóz nasz znajduje się zaledwie w odległości dwóch mil od wsi Bardo.

— A teraz — rzekłem — racz mi pułkowniku powiedzieć, czy wiesz o raporcie Burczymuchy?

— Wiem... bo co?

— Więc wiecie, że nieprzyjaciel blisko?

— Co za nieprzyjaciel? Mamy skąd inąd bardzo dokładne i wiarygodne doniesienia, że jest to oddziałek kozacki, około trzydziestu koni, wysłany na przeszpiegi.

Pułkownik mówił to wszystko z uśmiechem, głosem łagodnym i widocznie pragnął mię uspokoić i wogóle okazywał mi wielką uprzejmość.

— A czy pułkownik wiesz, że wśród tej watahy znajduje się Jan?

— Jaki Jan?

— Przemytnik, do którego w dobie, gdy generał Bosak przeprawiał się do nas, pułkownik polecił mi się udać.

— Aa! przypominam sobie... tak, mówił coś o tem Burczymucha... ale cóż to znaczy? Jeżeli łotra schwytamy, pójdzie na szubienicę i na tem koniec. Szpiegiem jest widocznie. Nie on pierwszy i nie ostatni.

Cóż miałem na to wszystko rzec! Nie mogłem przecież pułkownikowi mówić o Józefinie, i o Teresie i o podejrzeniach, jakie wzbudził we mnie pobyt w tych stronach Jana. Były to zresztą moje sprawy prywatne, sprawy, o których po obozie nieco szeptano i nieco krzywo na mnie patrzono. A jednakże, bądź co bądź, musiałem się czegoś dowiedzieć, dotrzeć do Bardo, gdzie mnie ciągnęło serce i najstraszliwsza obawa o los mej ukochanej. Począłem więc mówić, że przecież niepodobna pozwolić na to, aby bezkarnie, prawie pod nosem naszym włóczyła się po okolicy garść jeźdźców nieprzyjacielskich, szpiegowała i dopuszczała się nadużyć. Mówiłem to wszystko głośno, z gorączkowem ożywieniem, z wyraźnym niepokojem w ruchach i twarzy. Pułkownik patrzał na mnie ciekawie, słuchał mię w milczeniu, wreszcie spytał:

— Ale cóż ciebie, poruczniku, może to obchodzić? zdaje mi się, że to do ciebie nie należy. Wreszcie, czego chcesz?

— Chcę cię prosić, pułkowniku, abyś mi dał pluton jazdy, z którym wyruszę i onych jeźdźców przepędzę...

— I poco?

Nie umiałem na to odpowiedzieć, począłem znów prawić, że nie można przecież na to pozwolić, by oni się włóczyli i szpiegowali.

— To już jest nasza rzecz — odrzekł chłodno pułkownik, i dodał: — Czy masz mi co jeszcze mości poruczniku do powiedzenia?

— Nic. Chciałem tylko prosić o urlop dla siebie i dla wachmistrza Burczymuchy na kilka godzin.

— Czy zamierzasz się gdzie udać?

— Tak, do Bardo. Tam mieszka moja ciotka. Pragnąłbym ją odwiedzić.

Pułkownik spojrzał na mnie surowo i rzekł:

— Ah, to o to chodziło. Ale pamiętaj poruczniku, nigdy spraw publicznych nie mieszaj ze sprawami prywatnemi. Pozwalam ci wraz z Burczymuchą udać się do wsi Bardo. Przed wieczorem masz wrócić!

To rzekłszy, odwrócił się i począł rozmawiać z jednym ze swoich adjutancików, dając mi tem poznać, że konferencya nasza skończona. Przykro mi było bardzo, że pułkownik, którego bardzo szanowałem, tak się ze mną obszedł, ale w głębi duszy przyznać musiałem, że miał racyę, że ja, zaślepiony miłością, dla tej miłości chciałem narazić na poważne niebezpieczeństwo, może na śmierć, garść ludzi potrzebnych ojczyźnie. Wyszukałem Burczymuchę i zawołałem na niego:

— Na koń! jedziemy do Bardo.

— Hm... mopanku... dobrze: czemu by nie? pojadę z panem porucznikiem chociażby do piekła a nie dopiero do Bardo. Pyszne tam robi kucharka pierogi z serem, ale uważa pan porucznik, to jest, mopanku, wedle rozkazania chciałem się zapytać, kogo mam wybrać z plutonu?

— Nikogo.

— Jakto, samowtór pojedziemy?

— Tak.

— Hm... wedle rozkazania, niech i tak będzie. Co mi tam... raz trzeba umrzeć, ale widzi mi się, że może być koło nas krucho.

Tak gadał, mruczał coś pod nosem, ale kulbakę na koniu przypoprężył, pistolety bacznie obejrzał i w pięć minut był gotów. Ja też nie dałem czekać na siebie i niebawem puściliśmy się w drogę.

Jakkolwiek paliła mię gorączka jak najszybszego dostania się do dworu mej ciotki, jednakże konie pomęczone i wygłodzone mocno, mogły się tylko bardzo wolno posuwać, zwłaszcza, że drogi górskie, po wczorajszym deszczu, który i teraz mżyć zaczął, były ciężkie, błotniste, tak, że dopiero koło południa wydostałem się na wzgórze, z którego widać było Bardo i dwór cały doskonale.

Wieś wśród chmurnego dnia przedstawiała się czarno i ponuro. Panowała w niej jakaś głucha pustka, żywej duszy na głównej drodze nie było widać, psy nawet nie szczekały. Ponad domami, nad dachem dworu, wśród drzew włóczyły się jakieś szare mgły i dymy, i niewątpliwie były to dymy, bo wiatr przyniósł nam niemiłą woń spalenizny.

Burczymucha, którego zdrowego rozsądku i spokojności umysłu nie zakłócały żadne namiętności, popatrzywszy przez chwilę, rzekł:

— Mopanku, panie poruczniku, dwór się pali!

— Gdzie? co? jak?...

— Patrz pan, tam... nad kuchnią... moje pierożki z serem djabli wzięli!... widzi pan, jak czarny dym wali z pod dachu we dworze.

W rzeczy samej, gdym baczniej spojrzał, dostrzegłem kłęby czarnego dymu, wydobywającego się z okien i dachu od strony kuchni.

— I co dziwniejsza — mówił dalej Burczymucha — ja nie widzę nikogo koło domu. Panie poruczniku, tam się coś stać musiało!

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Przejęty najstraszliwszemi przeczuciami, spiąłem konia i jak szalony poleciałem przez wieś ku domowi. Nie zwracałem już uwagi na to, że wszystkie chałupy we wsi były na głucho zabite, że wiele z nich nosiło ślady pożaru, który tylko nie rozgorzał zupełnie z powodu przesiąkniętych wilgocią ścian, że cała droga zasypana była pierzem, szmatami wszelkiego rodzaju, trupami psów, koni i drobiu. Na wszystko to nie zwracałem uwagi, tylko pędziłem do dworu ciotki.

Nakoniec stanąłem tam na dziedzińcu. Smrodliwy dym rozwłóczył się wszędzie, drzwi główne, prowadzące z ganku do sieni, wyłamane czy wyważone zwieszały się z zawias, okna były pobite, powyrywane, cały dziedziniec zasłany kartkami zniszczonych książek, potłuczonemi meblami i lustrami, stosami pierza i dogorywającym psem domowym, ciężko dyszącym wśród kałuży krwi...

Zeskoczyłem z konia i wpadłem do sieni. Tu przedewszystkiem zobaczyłem trupa starego sługi domowego, niegdyś ułana trzeciego pułku, jak leżał, dzierżąc jeszcze w garści potrzaskaną kolbę dubeltówki, z wielką raną w piersi, z oczami o lodowatem wejrzeniu, w którem zastygł wyraz nieopisanej grozy. Pobiegłem do pokojów dalszych. Wszędzie obraz zupełnego zniszczenia, ale nigdzie żywej duszy... Poczynałem już lżej oddychać, bo widocznem było, że panie moje zdołały się uratować, gdy nagle rozległ się głos Burczymuchy, ale głos taki jakiś okropny, jakiego nigdy u tego żołnierza, przyzwyczajonego do najokropniejszych widoków, nie słyszałem:

— Panie poruczniku! panie poruczniku!... chodź pan prędzej tutaj.

Głos ten pochodził z kuchni. Pobiegłem tam, i widoku, jaki ujrzałem, nigdy w życiu nie zapomnę,

stał się on straszliwą zmorą mego istnienia, jadem trucizny, przepełniającej po dziś dzień mą duszę.

Na środku kuchni, na pół naga leżała na znak Józefina z rękami konwulsyjnie zaciśniętemi, w których sterczała garść kudłatych, rudych włosów, całkiem już zastygła, z oczami szeroko rozwartemi, szklistemi, temi cudnemi oczami, w których teraz tkwił tylko wyraz okropnej rozpaczy... Obok niej, oparta plecami o piec, także naga, skurczona jakaś w sobie, z głową opuszczoną na piersi i z wielką raną krwawą w tych piersiach, siedziała pani Teresa. Dalej były trupy mej ciotki, paru sług, a nad tem wszystkiem czarny, duszący dym...

*

Taką była ta straszna historya mego życia, która mię złamała na zawsze. Gdy do mych nieszczęść prywatnych, dołączyły się jeszcze nieszczęścia publiczne, stałem się sam trupem, który chodzi, je, spi, ale w którym życie wewnętrzne zamarło na wieki; stałem się posępnym upiorem w tym nieszczęsnym kraju.

KONIEC.

Uwięzione szczęście.

(Bajka).

Z wysokiego nieba zeszło raz na ziemię Szczęście, aby zapoznać się z ludźmi, których dotąd nie znało. Ile razy bowiem goniec niebiański ukazał się na ziemi, otaczał go zaraz tłum bogaczy i nie puszczał długo ze swych objęć, aż znużony biedz musiał na odpoczynek do swej świetlanej ojczyzny.

Jednostajność tych wycieczek znudziła wreszcie uroczego posłańca niebios, spłynąwszy więc tym razem na świat, ominął mieszkańców świetnych pałaców, wspaniałych komnat i cicho, bez szelestu, zarzuciwszy barwny swój kaptur na głowę, a róg obfitości przez plecy, z uśmiechem, pełnym słodyczy, pobiegł zaciszną, wiejską drożyną zdala od miast wielkich. Ujrzawszy świetlanego gońca, mieszkańcy wiosek urządzili mu tryumfalne bramy, sypali do stóp kwiaty...

Szczęście rzucało wkoło przyjazne słowa, radosne uśmiechy, a z rogu obfitości rozsypywało bogate dary.

— Mamy Szczęście! Przybyło do nas nareszcie! — wołali uradowani biedacy.

Złotowłosy goniec niebiański z radością patrzał na uszczęśliwioną rzeszę; gnała go jednak chęć poznania innych ludzi, więc już za chwilę biegł dalej...

Zmęczony, w długiej swej wędrówce doszedł wreszcie do samotnej chaty. Domek był czysty i miłe robił wrażenie, zapukał więc niebiański poseł do drzwi. Otworzono mu z radości pełnym uśmiechem, a złotowłose chłopię, nie mówiąc ani słowa, rzuciło się na przygotowaną ławę, oparło głowę na dłoni i opanowane zmęczeniem po długiej, a nużącej wędrówce zasnęło.

Sen widocznie był miły, bo wśród niego uśmiechał się posłaniec niebios radośnie. Długie mijały godziny, a Szczęście wciąż spało.

Kiedy wreszcie słonko wysoko już było na niebie, a promyki złote miłośnie muskać zaczęły śpiącego młodziana, zbudził się, przetarł oczy i chciał wstać... W tej chwili jednak z przerażeniem zauważył, że ruszyć się nie może, bo w czasie snu zarzucono na niego silne pęta, a nie miał tyle mocy, aby się z nich wyrwać.

— Tyś to uczynił, niegodziwy człowieku! — zawołał z rozpaczą, zwracając się do wieśniaka.

Wieśniak milcząc, z tryumfem patrzał na uwięzionego podstępnie młodziana.

Szczęcie rzucało mu z rogu swego dary najwspanialsze, prosząc o wolność, ale mieszkaniec ubogiej chaty był nieubłagany. Od kiedy bowiem Szczęście zatrzymał przemocą, z dnia na dzień dobrobyt mu się powiększał, zdrowie mu służyło, a szacunek ludzi zdobywał przebojem.

Pewnego dnia wieśniak gdzieś wyjechał, a Szczęście samo pozostało w chacie. W smutnej samotności goniec świetlany rozmyślać zaczął nad swym losem... Tęskno mu było za swobodą, a nawet i za ludźmi, którym zwykł wiele dobrego czynić.

W tej chwili drogą jechała we wspaniałej karecie piękna, czarnowłosa dzieweczka. Była zadumana i smutna. Woźnica jechał wolno, gdyż upał był nie do zniesienia. Nagle usłyszała dzieweczka cichy i błagalny jęk, dochodzący z chaty pod lasem, kazała więc stanąć i podeszła w stronę, skąd jęk dochodził.

Złotowłosy jeniec, ujrzawszy dziewczę, opowiedział swą przygodę, jak to ubogi człowiek, chcąc go zatrzymać u siebie przemocą, zarzucił mu pęta, których rozerwać nie może.

Dzieweczka spiesznie rozerwała nożem krępujące więzy cudownego gońca, i wyzwoliwszy go z pęt, zabrała ze sobą. Odtąd Szczęście najchętniej przebywa między bogaczami, u nich spoczynku szuka, ale bawi tam tylko przelotnie, krótką chwilę. Do chat ubogich boi się zbliżać, aby go znowu nie uwięziono przemocą. .

Dumka dziewczyny na obczyźnie.

Gdzieżeś ma wiosko, chato moja miła
Porosła mchami z starości,
Pod którąm żyła, życie prześniła
W snach szczęścia boskich, radości?

Gdzieżeś ma łąko z szemrzącym potokiem,
Z młynem, huczącym w oddali?
Gdzieżeście nieba z przeczystym obłokiem,
Z księżycem na chmurnej fali?

Gdzieżeś mój gaju z zielenią paproci,
Tęsknem słowika kwileniem?
Z tem słońcem, które bór wieczorem złoci
Ostatnim, krwawym promieniem?

Tam nocką czajki wywodzą swe trele
Rozpaczne, płaczą tam sowy,
Tu zabrzmi nocą zegar na kościele
I świst parowca grobowy.

Tam w dzień pogodny sierp i kosa brzęczy
Na mej matuli zagonie,
Tu w smudze dymu potwór z stali jęczy
I iskier snopami zionie.

Tam sad wiśniowy bielił się kwiatami,
Na lipach pszczoły brzęczały,
Wilgi, słowiki, kosy między krzami
Bzu i leszczyny śpiewały.

Tu tego niema i dusza wciąż rwie się
Tam, gdzie rodzice oboje...
Około wspomnień z ojczyzny wciąż pnie się,
Jak koło wrzosu powoje.

Chociaż bogactwa Stwórca tu nie skąpi,
Szczęścia tułaczom nie daje,
Złoto niw polskich nigdy nie zastąpi,
Dusza w ojczyźnie zostaje...

Władysław Łukasik.

WŚRÓD INDYAN.

Chociaż ustrój państwowy Stanów Zjednoczonych jest w istocie bardzo ludzki i pozostawia duże pole swobodzie osobistej, mimo to w kraju tym spostrzega się zastraszające zjawisko: oto Indyanie, zamieszkali w granicach Stanów, nie mogą się ostać nawet w tak wysoce republikańskiem państwie i w okropny sposób znikają z powierzchni ziemi. Niezliczona ilość plemion wymarła już całkowicie i obecnie ani jedno plemię nie zamieszkuje tych samych okolic, które przodkowie jego zajmowali przed stu laty. Przyczyny, które sprowadzają to przerażające spustoszenie wśród czerwonoskórych, są następujące:

Dzieci swoje Indyanie pozostawiają prawie zupełnie bez opieki i troszczą się o nie tak mało, że te, które nie wyniosły z domu wyjątkowego zdrowia, muszą iść do mogiły. Oprócz tego Indyanin karmi się bardzo złą i ciężką strawą, która w dodatku bywa często niewystarczająca. Wszystkie prawie plemiona odznaczały się i odznaczają niewiarygodną wprost lekkomyślnością, której następstwem był stale powtarzający się fakt, że o ile polowanie się nie powiodło, to wszyscy wydani bywali na pastwę głodu. Indyanin pod tym względem jest jak dziecko: wesoło i bez troski używa dnia dzisiejszego, nie myśląc zgoła, co będzie jutro.



Nieprzestrzeganie porządku i brud, oraz lekceważenie chorób i nieznajomość środków zaradczych, także dziesiątkują czerwonoskórych. W nędznych swych namiotach, są oni wydani na pastwę żywiołów, jak n.p. zamieci śnieżnej — i wielu z nich pada jej ofiarą. — W walce z zarazą, n. p. z ospą, stosują jedynie zmianę miejsca. Gdy jeden z nich zapadnie na chorobę zakaźną, inni pozostawiają go zupełnie bez pomocy, aby uniknąć możliwości zarażenia się. Zdrowi sąsiedzi zwijają swe namioty, przenoszą je daleko od chorego.

W wysokim stopniu zabójczem dla Indyan jest używanie wódki, którą czerwonoskórzy nazywają »wodą ognistą« i lubią niepomiernie. Żeby ją zdobyć, oddają najcenniejsze i najniezbędniejsze przedmioty. Niewielka ilość tego trunku wystarcza im do zupełnego upicia się; w stanie tym nie są oni jednak gwałtowni i chętni do bójki, tylko nadmiernie czuli. Wśród czarnonogich wódka gra nawet ważną rolę przy zawieraniu przyjaźni. Jeden z naocznych świadków opowiada taką, z życia podpatrzoną, scenę: Jakiś Indyanin nabrał do ust pewną ilość wódki, objął swego współplemieńca i wypluł mu w usta umiłowany nektar, dając mu w ten sposób dowód największej przyjaźni. Na Kongresie 9 lipca 1832 r., wydane zostało prawo, zabraniające białym sprzedawania wódki Indyanom, ale prawo to, jak wiele innych, pozostało tylko na papierze i Indyanie w dalszym ciągu korzystają z tego daru nowoczesnej cywilizacyi.

Jeszcze jedną przyczyną gwałtownego wymierania czerwonoskórych, bez porównania ważniejszą niż bitwy, staczane pomiędzy oddzielnemi plemionami, są nieustanne zatargi z białymi zaborcami. Rząd amerykański traktuje wprawdzie Indyan jako samodzielny naród, który nie podlega żadnej władzy i rządzi się własnemi prawami; ale zabrawszy im ziemię, pozbawia ich jeszcze prawa głosu i innych przywilejów obywatelskich. Nie zbiera z nich za to podatków, ale z czegóżby je zbierał? Zawiera on z czerwonoskórymi traktaty, które muszą być potwierdzone przez Senat. Zrywanie tych układów przez Indyan, oraz fakt, że godzą oni często na mienie i życie znienawidzonych »bladych twarzy«, daje mu sposobność do groźnego występowania przeciw nim.

Większość ludności Stanów Zjednoczonych potępia taki stan rzeczy i żąda, aby pozbawić Indyan samodzielności. Krok ku temu już uczyniono. Gdy wskutek konieczności połączenia ze sobą oddalonych stolic państwa, zaczęto budować koleje, nikt się już nie pytał Indyan, czy pozwolą oni przeprowadzić je przez swoje obszary. Uważano za niedorzeczność liczenie się z prawami półdzikiego narodu wobec szkód, jakie te prawa mogłyby wyrządzić reszcie ludności. — »Z taką samą słusznością — utrzymywała pewna gazeta, wychodząca w Illinois — krokodyle mogłyby się uważać za prawowitych właścicieli wielkiej rzeki Missisipi i żądać ofiar z ludzi za to, że nie będą pożerały innych«.

Faktem jest, że Amerykanie i Indyanie nie mogą żyć obok i nieustannie napadają na siebie wzajem, gdyż czerwonoskórzy, jako naród koczowniczy, nie umieją uwzględniać żadnych potrzeb życia osiadłego. Stąd ciągłe waśnie, zatargi i walki z białymi, którzy, jako przepłukiwacze złota, mącą im wody i przeszkadzają w rybołowstwie, jako koloniści, wdzierają się w granice ich łowów, sami polują i wycinają ich lasy. Ale biali mają po swojej stronie potęgę cywilizacyi, dzięki czemu pra stara ludność amerykańska niedługo zniknie z powierzchni ziemi, a pozostałe jej resztki rozpłyną się w olbrzymiej masie zaborców.

Obrazek nasz stanowi poglądowe uzupełnienie tego, cośmy wyżej powiedzieli o wrogiem usposobieniu Indyan do białych. Malarz odtworzył przygodę w amerykańskich stepach — napad czerwonoskórych na przejeżdżającą przez ich obszary gromadkę białych. Wywiązała się zacięta walka, która prawdopodobnie skończyła się porażką czerwonoskórych; chociaż mieli oni przewagę liczebną, to jednak uledz musieli doskonałej broni białych, która ich kładła pokotem.

Matka ubogich.

Jest prześliczna legenda o św. Elżbiecie, bardzo popularna we wszystkich krajach, a w ziemiach niemieckich znana każdemu dziecku.

To legenda poetyczna o różach.

Święta królowa wyszła z zamku, niosąc pod płaszczem chleb i inne pokarmy dla swoich ubogich, gdy wtem spotkał ją mąż i gniewnie zaszedł drogę, dopytując się, co przed nim ukrywa.

Święta Elżbieta odsłoniła płaszcz, lecz zamiast bochenków król ujrzał jeno róże.

Gdzieniegdzie opowiadają to inaczej.

Mianowicie, że królowa na rżysku w jesienne rano karmiła chlebem rzeszę ubogich, korzystając z tego, iż mąż jej wybrał się na polowanie. Musiała bowiem ukrywać się przed nim z swą dobroczynnością.

Wtem niespodziewanie król powrócił wcześniej.

Lęk zdjął wszystkich, na polu bowiem leżało jeszcze mnóstwo bochenków chleba.

Lecz gdy król nadjechał nie zobaczył nigdzie chleba, którego ubogim żałował z zamkowego skarbu, ponieważ nagle w cudowny sposób wszystkie bochenki przemieniły się w krzaki róż kwitnących pośród rżyska, mimo, że jesień była późna. Cud zaś wzruszył króla, który odtąd nie tylko nie przeszkadzał żonie zajmować się ubogimi, lecz sam jej jeszcze pomagał w miłosierdziu.

W podaniach powyższej treści niema zgody z historyą, która zanotowała, że małżonek św. Elżbiety od początku godził się na opiekę roztaczaną przez księżnę nad ubogimi i chętnie ofiarowywał ze skarbu pomoc dla biednych; legendy zaś pomieszały postać męża Elżbiety z jego bratem, który później Świętą srodze prześladował za dzielenie się książęcymi funduszami z ubogimi.

Dzieje św. Elżbiety Węgierskiej są dokładnie znane. Młodziutka landgrafini Turyngii była córką króla węgierskiego Andrzeja II, a żyła zaledwie 23 lata. Przyszła zaś na świat siedmset lat temu, bo w roku 1207.

Jeszcze w kolebce — ówczesnym zwyczajem — zaręczona Ludwikowi, została przywieziona w czwartym roku życia na dwór swego przyszłego teścia, najwykwintniejszy wtedy z dworów niemieckich. Lecz uciechy światowe na zamku wartburskim nie wpłynęły na jej usposobienie, przeciwnie pobożna z natury dzieweczka od lat najwcześniejszych nabrała upodobania do życia ascetycznego (umartwiającego) i zamiłowania do opieki nad ubogimi.

W 14 roku zaślubiła narzeczonego, który na tron wstąpił jako Ludwik IV i uzyskał przydomek miłosiernego, a po śmierci został zaliczony w poczet Świętych.

Wbrew legendom, król podziwiał jej cnoty, zostawiał żonie zupełną swobodę w pełnieniu uczynków miłosiernych i sam jej w nich dopomagał czynnie.

Podczas wielkiego głodu w Niemczech, św. Elżbieta przez długi czas karmiła codzień 900 nędzarzy, osobiście im jadło rozdzielając. Odtąd nazwano przyszłą Świętą Patronkę »Matką ubogich«.

Owdowiała, mając lat 20, kiedy mąż jej 27-letni Ludwik umarł na tyfus w czasie wyprawy krzyżowców niemieckich.

Po śmierci miłosiernego landgrafa, objął rządy w Turyngii brat Ludwika książę Henryk, który zaraz wygnał z zamku wartburskiego wdowę z dziećmi, oskarżając ją o trwonienie skarbu na korzyść ubogich. Prześladował Elżbietę za jej dobre uczynki do tego stopnia, że zabronił dawać jej przytułku w całem państwie.

Święta niewiasta, żebrząc z dziećmi, znajdowała odtąd schronienie tylko w kościołach w godzinach nabożeństwa, lecz pobożna królewna znosiła te upokorzenia z pokorą. Wreszcie dowiedziała się o jej losie ciotka, ksieni zakonu w Hitzingen i przyjęła ją i jej dzieci do swego klasztoru.

Za sprawą podczaszego zmarłego jej męża, Henryk przeprosił wtedy bratową za wyrządzone krzywdy i wrócił jej rodzinną majętność.

Skorzystała z tego Elżbieta, opuściła klasztor, żeby wszystkie dochody módz obracać na czyny miłosierdzia, sama zaś w habicie tercyarki żyjąc w ustroniu, utrzymywała się odtąd z tego, co własnemi rękoma zarobiła.

Lecz wycieńczona umartwieniami ascetycznemi, rychło zmarła w Marburgu w Hessyi w roku 1231 dnia 19 listopada, który to dzień właśnie pamięci »Matki ubogich« przeznaczył Kościół, ogłosiwszy Elżbietę świętą.

Na trumnie jej cesarz Fryderyk VI złożył złotą koronę.

Świętą Elżbietę najdawniejsi malarze przedstawiają z trzema koronami, z jedną na głowie, a z dwiema na ręku lub na książce, co ma oznaczać, że świętą była jako panna, jako żona i jako wdowa. Łukasz z Lejdy malował ją w habicie tercyarki franciszkańskiej. Na obrazie Murilla święta obmywa trędowatych, na innych wizerunkach niesie kosz z chlebem dla ubogich.

Najczęściej jednak wyobrażali malarze św. Elżbietę, jako księżnę z różami w połach płaszcza, w myśl owej pięknej legendy o bochenkach zamienionych w róże.

Do polskiej sosny.

Czemu smutno szumisz,
Czemuś rozżalona,
Ty polska sośnino?
Czemu twoje szumy
Jak z ludzkiego łona
W moją duszę płyną?

Możeś ty ten smętek,
Tę tęsknotę cichą,
W moje serce wlała?
Boś nad moją głową
Nad kołyską lichą
Smutno szumiewała.

Może tobie smutno,
Że te polskie bory,
Wrogom gdzieś oddano?
Że już wiatry zwiały
Leśne rozhowory
Gdy króle zrąbano?

Króle polskich borów,
Dęby rozsochate,
Wrogom zatracili!
Tyś jedna została,
I orlę skrzydlate,
W twojem cieniu kwili...

Boże! i mnie smutno
Na tym pięknym świecie.
Ojczyzna ma skuta,
Bom ja orlę wolne
Nie niewoli dziecię,
Ja nie znoszę knuta.

Ja wyrosłem wolny
Wśród polskiej rubieży,
Śpiewam swojską nutę
Lecz tak jakoś smętnie,
Bo mojej Macierzy
Ramiona okute.

Wawrz. Pietrucha.

CZARNA ZARAZA.

XXIV. Zakończenie.

Przyjemny widok. — Wyzdrowienie pana. — Opowieść Knapwursta.

Długo będę pamiętał pierwsze polowanie na dziki, w którem uczestniczyłem, a zwłaszcza wspaniały powrót z pochodniami do zamku po dwunastogodzinnych harcach na śniegu. Po kolacyi udałem się, zmęczony nad wszelki wyraz, do wieży Hugona, gdy przechodząc koło pokoju Sperwera, usłyszałem wesołe okrzyki. Spojrzałem przez drzwi uchylone i najprzyjemniejszy widok przedstawił się moim oczom.

Dokoła dębowego stołu siedziało ze dwadzieścia osób. Dwie lampy żelazne, zwieszające się od sklepienia, oświetlały te twarze szerokie, poczciwe, rozpromienione.

Był tam Sperwer ze swymi długiemi wąsami, błyszczącemi oczyma i najeżoną siwą czupryną; policzki miał zarumienione, w dłoni trzymał starożytny srebrny puhar, a malowniczy strój myśliwski uwydatniał jego silne kształty.

Po prawej stronie siedziała Marya Lagoutte w wielkim tiulowym czepcu, śmiejąc się, rozmawiając i kręcąc na wszystkie strony.

Po lewej wychylała się z głębokiego fotelu głowa Knapwursta, dostająca Sperwerowi zaledwie do łokcia. Dalej widać było pana Tobiasza Offenlocha, czerwonego jak piwonia, a dalej jeszcze długą, melancholijną twarz Sebalta, który śmiał się pocichu, zapatrzony w dno szklanki.



Dokoła dębowego stołu siedziało ze 20 osób.

Była tam także służba, domownicy, oficyaliści, słowem cały ten światek, który żyje i rozwija się dokoła możnych rodzin, jak mech i powój u stóp dębu.

Na stole, pomiędzy półmiskami obciążonymi mięsiwem, butelki wina reńskiego wyciągały swe długie szyje, połyskiwały noże o szerokich ostrzach i leżały fajki ulmeńskie ze srebrnymi łańcuszkami. Światło lamp oblewało to wszystko, pozostawiając w cieniu szare mury, na których w złotych kręgach zwijały się trąbki i wisiały inne przybory myśliwskie.

Sperwer, wznosząc kielich, śpiewał pieśń: »Jam pan tych gór!« Ale zobaczywszy mnie, przerwał i, podając mi rękę, zawołał:

— Ciebie nam brakowało, Franku. Oddawna nie byłem tak szczęśliwy, jak dzisiaj.

A gdym patrzył na niego z podziwem, bo od śmierci Liverlego uśmiech nie pojawiał mu się na ustach, dodał poważnie:

— Obchodzimy wyzdrowienie naszego pana i Knapwurst opowiada nam rozmaite historye.

Wszyscy zwrócili się ku mnie, witając mnie radosnymi okrzykami.

Zanim zdołałem się opamiętać, wciągnięto mnie, posadzono przy Maryi Lagoutte i wetknięto mi w rękę ogromną szklanicę wina.

Sperwer objął mnie za szyję i, podchmielony trochę, wołał:

— Oto mój wychowanek! oto mój syn! Ja i on... on i ja... razem aż do śmierci! Za zdrowie doktora!

Knapwurst, stojąc na fotelu, trącał się ze mną szklanką, Marya Lagoutte fruwała skrzydłami swego czepca, Sebalt, stojąc wyprostowany, powtarzał: »Za zdrowie doktora!«, a śmiech i brzęk kieliszków napełniał całą salę.

Uciszyło się na chwilę. Wszyscy pili, poczem, jakby na komendę, szklanki o stół stuknęły.

— Brawo! — wykrzyknął Sperwer, a zwracając się do mnie, dodał:

— Wznosiliśmy już zdrowie hrabiego i panny Odili. I ty je spełnić musisz!

Wychyliłem więc dwukrotnie do dna wielki puhar i rozjaśniło mi się jakoś w oczach, a twarze obecnych wydały mi się takie miłe, dobre i poczciwe, że miałem ochotę wyściskać się i wycałować z każdym po kolei.

Sperwer śmiał się ciągle i pośpiewywał. Nagle położył rękę na garbie karła i rzekł:

— Cicho! teraz Knapwurst, nasz archiwista, ma głos! Ten garb, widzicie, to echo dawniejszych czasów!

Garbusek, zamiast się za ten komplement obrazić, spojrzał z rozrzewnieniem na dojeżdżacza i odparł:

— A ty, Sperwerze, ty jesteś jednym z tych starych rajtarów, o których wam opowiadałem. Tak, masz ramię, wąsy i serce starego rajtara. Gdyby się to okno otworzyło i który z nich wyciągnął do ciebie rękę z pomiędzy cieniów, cobyś mu odpowiedział?

— Uścisnąłbym mu rękę i powiedziałbym: »Przyjacielu! pójdź, usiądź z nami. Wino jest równie dobre a dziewczęta równie ładne, jak za czasów Hugona. Patrz!«

I Sperwer pokazywał na uśmiechnięte dokoła stołu twarzyczki.

Istotnie były one bardzo ładne, te nideckie dziewczęta! Jedne rumieniły się z radości, inne podnosiły zwolna długie złote rzęsy, osłaniające lazurowe wejrzenie, a ja dziwiłem się sam sobie, żem nie zauważył dotąd tych różyczek, rozkwitających wśród murów starego zamczyska.

— Cicho! — zawołał Sperwer po raz drugi. — Nasz przyjaciel Knapwurst powtórzy nam legendę, którą nam już dzisiaj opowiadał.

— Dlaczegoż tę a nie inną? — spytał garbusek.

— Ta mi się podoba.

— Umiem piękniejsze!

— Knapwurście! — rzekł Gedeon, podnosząc palec z powagą — mam moje powody, dla których

chcę ją usłyszeć raz jeszcze. Mówi ona bardzo wiele rzeczy. A ty, Franku, uważaj.

Karzeł, nawpół podpity, położył łokcie na stole i, pięściami podparłszy policzki, wykrzyknął przenikliwym głosem:

— A więc słuchajcie! »Bernard Hertzog opo»wiada, że burgraf Hugo, przezwany Wilkiem, ze »starzawszy się, przywdział kaptur z siatki żelaznej, »który mu całą głowę okrywał, i nie zdejmował go »aż do ośmdziesiątego drugiego roku życia. Ale »w tym wieku zaledwo już mógł oddychać. Wtedy »wezwał Ottona Burlacha, swego kapelana, swego »starszego syna, Hugona, swego młodszego syna, »Bartholda, i swoją córkę, Bertę Rudą, żonę wo»dza saksońskiego nazwiskiem Blouderic, i rzekł im:

— »Matka wasza, Wilczyca, użyczyła mi swo »ich pazurów, krew jej zmieszała się z moją. Odra »dzać się w was będzie przez wieki i jęczeć wśród »śniegów Czarnego Lasu. Jedni powiedzą: To wiatr »wyje! drudzy: To sowa! Ale to będzie krew wa»sza, moja, krew Wilczycy, za sprawą której udu»siłem Jadwigę, moją pierwszą żonę w obliczu Boga »i świętego Jego Kościoła. Tak... jam sprawcą jej »śmierci. Niech Wilczyca będzie przeklęta! Albo »wiem powiedziano jest: Poszukiwać będę zbrodnię »ojca w jego potomkach, dopóki się sprawiedliwości zadość nie stanie.

»A stary Hugo umarł.

»A od tego czasu wiatr wyje, sowa jęczy, a wę»drowcy, zabłąkani w nocy, nie wiedzą, że to krew »Wilczycy pokutuje... krew, która odradza się — »powiada Hertzog — i odradzać się będzie przez »wieki, dopóki Jadwiga Złotowłosa nie pojawi się »znów w Nidecku w postaci anioła, przynosząc po»ciechę i przebaczenie«.

Sperwer wstał i, zdjąwszy jedną lampę, zażądał klucza od biblioteki od zdumionego karła i dał mi znak, abym szedł za nim.

Minęliśmy szybko wielką galeryę, zbrojownię i sala archiwalna ukazała się nam w końcu korytarza.

Dokoła było cicho zupełnie, jakgdyby zamek opustoszał. Kilka razy odwracałem głowę i widziałem wtedy cienie nasze długie i dziwacznie pokręcone, sunące się po ścianach.

Strach mnie ogarnął niepojęty.

Sperwer popchnął dość ciężkie drzwi dębowe i wszedł pierwszy. Tam przed portretem Jadwigi, którego podobieństwo z hrabianką uderzyło mnie od pierwszego wejrzenia, zatrzymał się i rzekł uroczyście:

— Oto ta, która ma przyjść z pociechą i przebaczeniem... Już przyszła! Jest tam na dole, przy starym. Patrz, Franku, czy poznajesz ją? To Odila!

Poczem, zwracając się ku portretowi drugiej żony Hugona:

— Co do tej — mówił dalej — to Huldina Wilczyca. Przez tysiąc lat jęczała w wąwozach Czarnego Lasu i ona to jest przyczyną śmierci mego biednego Liverle; ale teraz hrabiowie na Nidecku mogą już spać spokojnie, bo sprawiedliwości stało się zadość i dobry anioł rodziny powrócił.

KONIEC.

Zgromadzenie w Szczurowy.

Piszą nam z Szczurowy: W niedzielę 14 bm. po sumie odbyło się w Szczurowy w lokalu strażnicy pożarnej liczne zgromadzenie mieszkańców Szczurowy i gmin, należących do parafii szczurowskiej, na którem poseł do Rady państwa Dr Matakiewicz złożył wyczerpujące sprawozdanie ze swej działalności poselskiej, przedstawił kroki poczynione przezeń u władz rządowych, i autonomicznych w sprawie rozmaitych żądań Szczurowy i sąsiednich gmin, w szczególności zaś podniósł, że w sprawie uzyskania wydatnej pomocy i zarobku dla ludności okręgu wyborczego, nawiedzonej w tym roku powodzią interweniował po oglądnięciu rozmiarów klęski na miejscu, dwukrotnie osobiście u JE. Pana Namiestnika.

Zgromadzeniu, które miało przebieg bardzo poważny, przewodniczył właściciel Szczurowy p. Kempiński, zastępywał go włościanin Giza, sekretarzował dyrektor szkoły p. Litarowicz.

Nad sprawozdaniem poselskiem wywiązała się ożywiona dyskusya, w toku której zabierali głos pp. Dziedzic, Nicpoń, Wójcik, Franciszek Giza, Dr Grzybczyk, Mazanek.

W szczególności żalono się na dotychczasowy nieodpowiedni rozdział zapomóg z powodu klęsk rolniczych, żądając wydatniejszych subwencyj rządowych na regulacye rzek, melioracye, budowę i poprawę dróg, podnoszono żale na powolny postęp obwałowania przez Wydział krajowy rzek Uszwicy i Uszewki, które ustawicznie zalewają i zabagniają pola i łąki, oświadczono się za przymusową asekuracyą od ognia, żądano, by kontrakty kupna gruntów co najmniej od 1 morgi obszaru sporządzano w sądach za darmo, żądano skasowania dwu-typowych seminaryów, zniesienia bonifikacyi gorzelnianych i przestrzegania zupełnej swobody emigracyi.

Na zarzut członków stronnictwa ludowego Dziedzica i Franciszka Gizy, dlaczego nie głosował przeciw bonifikacyom gorzelnianym, odpowiedział p. Matakiewicz, że 28 grudnia 1912 r. i 19 czerwca 1913 r. podczas głosowania nad wnioskiem Diamanda o zniesienie bonifikacyi gorzelnianych, chcąc zastosować się do woli wyborców wstrzymał się od głosowania. Nie inaczej postąpili także prezes Stapiński i niektórzy posłowie ludowcy jak np. Witos, którzy na powyższych posiedzeniach Rady państwa uchylili się od głosowania w tej sprawie.

Na żądanie pp. Dziedzica, Nicponia i Franciszka Gizy, aby p. Matakiewicz wstąpił do stronnictwa ludowego, oświadczył, że nie może tego uczynić między innymi i z tego powodu, że kierownictwo stronnictwa ludowego wydało namiętną walkę pracującemu dla ludu z całem poświęceniem duchowieństwu katolickiemu, czego on jako katolik i Polak nie pochwala, a co uważa za szkodliwe dla naszego narodu i dla samego stronnictwa ludowego za zgubne. Mimo, że nie należy do stronnictwa ludowego, stara się dla ludu jak najwięcej zdziałać i uzyskać.

Po podziękowaniu przez p. poczmistrza Mazanka posłowi Matakiewiczowi, że tenże mimo, iż w Szczurowy nie uzyskał zbyt wielkiej ilości głosów, przybył tu ze sprawozdaniem poselskiem i aby oglądać klęski elementarne, dalej, że jako referent w komisyi i Izbie posłów przez swą energię i pilność przeprowadził ustawę o uwolnieniu od akcyzy mięsa z bydła dorżniętego z konieczności, po zaznaczeniu przez p. Franciszka Gizę, że do osoby posła Matakiewicza ma zupełne zaufanie, a ma mu tylko za złe, że należy do stronnictwa konserwatywnego, uchwalono jednomyślnie rezolucye, domagające się odpisania podatków gruntowego i domowo klasowego za rok 1913, jak najspieszniejszego obwałowania Uszwicy i Uszewki, znacznych subwencyj na budowę i poprawę dróg i melioracye, pożyczek bezprocentowych dla rolników nawiedzonych klęskami elementarnemi — poczem przewodniczący zamknął zgromadzenie.



MACIEK BZDURA GADA:

Tak ten cas prędziuśko leci, ze aniś się obeźroł, a tu juz jesień na karku! Kaśka pada, ze to chwała Panu Jezusowi, bo prędzy się chłopaki będą brały do ozeniacki. Nie jednemu jak zmarzną gicale i na nosie złapie gila, to się przypomni, ze zeniatemu przecie inacy, bo go w chałpie, choćby zarnówicą, ma fto rozegrzać.

Niezeniaty, jak przyjdzie do chałpy po robocie, to opuści usy na kolana, a bez to zaraz ziąb go przechodzi; zeniatemu, to zaraz baba cosik takiego wyśtuderuje, ze jaz go ciarki po całem ciele przejdą. Bo albo go zacnie swarzyć o to, albo o to; albo mu kaze to, albo to zaspekulować, a jak już ni ma co wymyślić, to go będzie choć całowaniem grzać, póki go cholera nie weźnie i nie zrobi nogi z chałpy do kuma Grzeli, albo do kuma... Ślojmy!

Chłop, który ma dobrą i przyścipną kobitę, to z chałpy nie będzie uciekał. Kuzda baba ma w sobie na chłopa taki sposób, ze, zeby ten chłop nie wiedzieć jaki ocajdusa był, to baba go zawse utrzymać moze. Ale trzeba ino chcieć i umieć!

Ocywiście, jezeli chłop dobry, to trza zawse śnim dobrze, aby się nie zepsuł, ale choćby chłop był i najgorsiejsy, to ni można śnim tak: hudru mudru, bo się zaraz zepsuje. Chłop, jak ten zygarek, a baba jak klucyk, ftóry ten zegarek nakręca! Jak klucyk umi dobrze nakrącać, to i zygarek będzie galantnie sed, ale jak klucyk raz targnie, raz siepnie, a potem cas dłuzsy nie nakrąca, to się i zygarek w ocymieniu zwydrzy i będzie chodził, jak mu się rzywnie podoba.

Z chłopem, jeżeli on jest całkiem dobry, to trzeba powoli a ostrożnie, to się da ugłaskać. Z pocątku jak on chce, trzeba chcić, jak on nie chce, trzeba nie chcić, a zapoźni to się juz tak ułozy, ze jak baba będzie chciała, tak i on będzie chcioł.

I jeśli się tak w małzeńsiwie postępuje, to w takim małzeństwie i garki całe i... głowa cała. Ale jak chłop swoje, a baba swoje, jak jedno do Sasa, drugie do lasa, to wtedy w chałpie ino obraza boska i piekło w domu!

Zeby baby umiały z chłopami postępować, toby dzieuchy nie potrzebowały na chlopaków polować, bo gdyby jeden i drugi uźroł, ze w małzeńskości dobrze, toby se nie jedną, ale i dwie dzieuchy za baby brał.

Latego wszyćkiem zeniatem babom radzę, aby były dobremi klucykami dla wszyćkich swoich chłopów, a wtedy codzień w kuzdy chałpie będzie weselisko, ze jaz hej!... Wtedy niezeniaty dzieuchy na całem świecie nie uświadcy, bo jak się ino ftóra umnozy, to juz pięci kawalerów będzie na nią za piecem cekało.

Z TYGODNIA.

Konferencya o reformie sejmowej. We Lwowie odbyła się dn. 20 b. m. zwołana przez marszałka kraju konferencya w sprawie reformy wyborczej. Zaproszono na nią między innymi 14 przywódców trzech grup konserwatywnych sejmowych. Podobno ma być wydelegowany ściślejszy komitet, którego zadaniem ma być wdrożenie rokowań dla rozwikłania trudnego położenia, wynikłego z powodu niezgody polskich stronnictw w sprawie reformy sejmowej.

Zwołanie Rady państwa. Gazety donoszą, że sesya parlamentu wiedeńskiego rozpocznnie się między 15 a 25 października.

Zwołanie delegacyj. W kołach parlamentarnych sądzą, że sesya delegacyj rozpocznie się z końcem listopada i będzie na razie trwała tylko kilka dni. Minister spraw zagranicznych hr. Berchtold wygłosi wywód, poczem delegacye zajmą się półrocznym budżetem. Główna sesya odbędzie się dopiero w styczniu. Austryacka delegacya będzie miała tym razem słowiańskiego prezydenta. Sądzą, że będzie nim Czech, pos. Dr Fiedler.

Rokowania czesko-niemieckie. Rokowania ugodowe niemiecko-czeskie rozpocząć się mają z końcem września. Być może, że sprawą tą zajmie się już Rada ministrów, która odbędzie się w tym tylko celu. Rząd nie projektuje wniesienia przedłożenia rządowego, lecz ograniczy się do sformułowania swego stanowiska przez naszkicowanie głównych zasad ugody. Ze strony czeskiej donoszą, że ministerstwo spraw wewnętrznych wypracowało projekt w sprawie odgraniczenia powiatów sądowych. Do tychczas nie wiadomo, czy zaproszenia do wzięcia udziału w konferencyach ugodowych wystosowane będą do poszczególnych posłów, czy stronnictw. Konferencye odbędą się w Wiedniu pod przewodnictwem prezydenta ministrów hr. Stürgkha w obecności ministra spraw wewnętrznych bar. Heinolda i namiestnika Czech księcia Thuna.

Niedobór Czech. Podług oświadczenia min. Zaleskiego, niedobór Czech w budżecie tegorocznym wyniesie tylko 4 mil. kor. Gdyby nie podwyższenie dodatku do podatków i podatek od piwa, niedobór wyniósłby 30 mil. koron.

Wyrzucanie wywłaszczonych. Rząd pruski niegodziwie postępuje z naszymi rodakami w tej części Polski, którą zagarnął pod swoje panowanie. Nie mogąc żadnemi prześladowaniami przerobić naszych braci na Niemców, postanowił przemocą odbierać Polakom ziemię i osadzać na niej swoich ludzi. Na początek poszły cztery większe gospodarstwa: Kołdrąb, Dąbek, Dobsk i Złotniki. Właściciele ich otrzymali przed pół rokiem od rządu zapytanie, ile pieniędzy chcą za swoją ziemię. Wszyscy odpowiedzieli, że za żadne skarby świata nie oddadzą dobrowolnie ziemi ludziom obcym. Rząd pruski wtedy ocenił sam wszystkie te gospodarstwa i wezwał właścicieli, aby przyjęli pieniądze i opuścili ojcowiznę. Rozumie się, nikt tego wezwania nie usłuchał. W zeszłym tygodniu do wszystkich czterech majątków przyjechali urzędnicy pruscy, przemocą pousuwali rzeczy z dworów i zaczęli w tych majątkach gospodarować jak u siebie. Ale takiemi zbrodniami nie zdoła rząd pruski złamać Polaków w Wielkopolsce. Nadzieja cała w dzielnym, patryotycznym i wytrwałym ludzie wielkopolskim, który przetrwa prześladowania i polskim pozostanie.

Nowa gubernia. W niedzielę 14 września rozpoczęła swe istnienie gubernia chełmska, którą rząd wyciął z części gubernii lubelskiej i siedleckiej.

Przybył do Chełma gubernator i otwarto tam urzędy gubernialne. Odbyły się przy tej sposobności wielkie nabożeństwa w cerkwiach prawosławnych i inne uroczystości urzędowe. Jednocześnie z utworzeniem gubernii chełmskiej przestała istnieć gubernia siedlecka, którą rozdzielono pomiędzy chełmską, lubelską i łomżyńską. Powstanie gubernii chełmskiej jest dziełem gwałtu rządu rosyjskiego. Ale gubernia ta, mimo wszystko pozostanie tem czem jest: ziemią rdzennie polską, nierozerwalnie złączoną z Ojczyzną, najświętszymi węzłami krwi i ducha.

Spory graniczne. Spór, który powstał przy ustanawianiu nowej granicy państwowej pomiędzy Serbią a Grecyą, ma być oddany do rozstrzygnięcia umyślnemu sądowi, złożonemu z wysłańców obydwóch państw. Tak samo spór serbsko-czarnogórski rozstrzygnie umyślny sąd, złożony z Serbów i Czarnogórców.

Walki w Albanii. W północnej części Albanii była potyczka powstańców z wojskiem czarnogórskiem. Albańczycy chcą słusznie, aby cały kraj ich był wolny i nie podlegał obcym, tak przez Albańczyków znienawidzonym. Dlatego Albańczycy powstali zbrojnie przeciwko Czarnogórcom, Serbom i Grekom, którzy zagarnęli pod swe panowanie po kawale Albanii.

Pokój bułgarsko-turecki. Już urzędownie ogłoszono, że tureccy i bułgarscy delegaci podpisali protokół w sprawie ostatecznego ustalenia granic. Jest ono bardzo niekorzystnem i krzywdzącem dla Bułgaryi. Cały kraj nadmorski, Tracyę, z miastami Adryanopolem, Kirkilisse i innemi, zdobytemi z takiem męstwem, Bułgarzy tracą na rzecz Turcyi. Ostatecznie najdzielniejszy z narodów bałkańskich, najsilniejszy wojskowo, który główny ciężar wojny z Turcyą dźwigał na swych barkach, wychodzi po wojnie skrzywdzony i obrabowany przedewszystkiem przez swych byłych sprzymierzeńców, następnie przez Rumunię, która w bandycki wprost sposób urwała kawał Bułgaryi, gdy ta w tych stronach wcale wojska nie miała, w końcu przez Turcyę. Ale być może, iż nadejdzie chwila odwetu dla Bułgaryi, gdy zawrze nowe przymierze. Podobno w Konstantynopolu toczą się układy także o zawarcie pomiędzy Bułgaryą a Turcyą przymierza, głównie przeciwko Grecyi. Turcya chce przy pomocy Bułgaryi odebrać Grecyi parę większych wysp na morzu greckiem; a znowu Bułgarya pragnie przy pomocy Turcyi przyłączyć do swego panowania miasta nadmorskie Salonikę i Kawalę, które zabrała po zwycięskiej wojnie Grecya.

Zatarg Chin z Japonią. W Chinach panuje wielki niepokój z powodu wrogiego zachowania się Japonii względem Chin. Niektóre gazety chińskie piszą, że w zatargu obecnym idzie nie o paru zabitych przez ciemny motłoch chiński, Japończyków, ale o inną, o wiele ważniejszą sprawę. Oto Japonia zawarła jakoby potajemną umowę z Rosyą i Anglią, i chce zagarnąć pod swoje panowanie duży nadmorski pas ziemi chińskiej. Rosya ma wziąć Mongolię i część Mandżuryi, Anglia zaś zagarnie ostatecznie Tybet. Mocarstwa te postanowiły wykonać swoje zamiary, póki jeszcze Chiny są słabe i niezdolne do większego oporu. — Obecnie, jak donoszą z Pekinu, stolicy Chin, Chiny przygotowują się pośpiesznie do wojny z Japonią. W okolicy Pekinu wszystkie drogi przepełnione są wojskiem. W większych miastach utworzono osobne urzędy, które werbują do wojska młodzieńców od 19 do 25 roku życia. Gazety chińskie w Pekinie wzywają rząd, aby wypowiedział wojnę Japonii i nie pozwolił jej przygotować się całkowicie do wojny.

KRONIKA.

Koniec kwartału! Niniejszy numer jest **ostatnim** w trzecim kwartale. Prosimy więc tych wszystkich, którym kończy się prenumerata z końcem września, aby corychlej ją odnowili, by mogli dalej bez przerwy „Rolę“ otrzymywać.

Nasze powieści. W dzisiejszym numerze kończymy druk obydwóch powieści, poczem rozpoczniemy nowe, a mianowicie p. t. ***Nad jeziorem Gopłem*** i ***Czarodziej Twardowski.*** Pierwsza powieść przeniesie nas w owe legendarne czasy, gdy to, jak mówi podanie, myszy Popiela zjadły, a na tronie książęcym zasiadł chłop Piast; zaś w drugiej zapoznamy się z czarnoksiężnikiem Twardowskim, z jego wędrówką do piekła i z jego ciekawemi czynnościami. Powieść p. t. „Czarodziej Twardowski“ będą zdobić obrazki, umyślnie dla „Roli“ wykonane.

Kradzież w kościele podgórskim. W nocy z 17 na 18 września spełniono śmiałą kradzież w parafialnym kościele w Podgórzu przy Krakowie. O ile sądzić można, po północy złodziej czy złodzieje dostali się do kościoła, wchodząc przez okienko nad zakrystyą. Skradli kielich wartości około 100 kor.; dalszemu plądrowaniu stanęły na przeszkodzie jakieś nieznane przyczyny; albo złodziei spłoszono, albo też nie mieli narzędzi. Głównie zdaje się przyszli w zamiarze obrabowania składkowych puszek kościelnych i te porozbijali zarówno około głównego ołtarza, jak w nawach kościelnych. W puszkach zdaje się nie wiele było pieniędzy, gdyż zarząd kościoła wyjął składkowe pieniądze. Policya podgórska zarządziła poszukiwania.

Pożegnanie kapłana obywatela. W ubiegłym miesiącu opuścił Tuchów ks. Władysław Mendrala, katecheta i wikaryusz, przeniesiony na ważniejszy posterunek expozyta do Zabawy koło Radłowa. Wzorowy kapłan mimo nadmiernej pracy w parafii i szkole, znalazł dość czasu, aby poza pracą duszpasterską brać udział w pracy społecznej, w kasie Raiffeisena i Kółkach rolniczych. Był też kapelanem Sokoła. W ciągu pięcioletniego pobytu w Tuchowie, pracował niezmordowanie nad szerzeniem oświaty, trzeźwości wśród naszego ludu. Owocem tej pracy było założenie w Tuchowie w kwietniu 1912 r. składnicy towarowej Kółek rolniczych, opartej głównie na udziałach włościan i mieszczan, która doskonale się rozwija i miała roczny obrót 200 tysięcy koron. W składnicy tej zaopatrują się w towary krajowe jak najlepszej jakości nietylko mieszkańcy Tuchowa i okolicy, ale także Kółka rolnicze powiatu sądowego tuchowskiego i pobliskie Kółka powiatu tarnowskiego i jasielskiego. Składnica ta regulując ceny, jest dobrodziejstwem dla ludności. W uznaniu tych zasług uczczono ustępującego kapłana wieczorkiem pożegnalnym i wspólną fotografią. Jak nam z Zabawy donoszą, ks. Mendrala, pomimo zbyt krótkiego pobytu jako expozyt przy nowowybudowanym kościele, który stanął kosztem ofiarności właścicielki dóbr pani Jakubowskiej i mieszkańców gminy Watrudy i Zabawy-Podwale-Zdarzec, przez swą mrówczą pracę, gorliwość i szerzenie oświaty

wśród swych parafian, zdobył sobie u nich szacunek i ogólną życzliwość.

Usuwanie się góry. Z Muszyny donoszą, że z powodu ulewnych deszczów, wyrządzających znaczne szkody prawie w całym kraju, zanotować należy uwagi godne zjawisko. Oto usuwa się całe pasmo góry, wynoszącej około 10 morgów łąki i lasu w Muszynie, przy gościńcu prowadzącym do Krynicy. Przed dwoma tygodniami okazały się najprzód nieznaczne rysy i zagłębienia, które w ciągu tego czasu zwiększały się do tego stopnia, że obecnie posunięcie się grubej warstwy ziemi po nieprzepuszczającym wody ile (biała glina) wynosi około 8 metrów, tudzież daje się spostrzedz ciągłe dalsze posuwanie się w kierunku do drogi i toru kolejowego. Z wypchniętej i nasyconej wodą ziemi potworzyły się ciekawe jeziora, w których faluje pofałdowana skorupa ziemi, opatrzona trawą, podczas gdy posunięte drzewa szpilkowe z górnej części lasu leżą korzeniami do góry, jednem słowem ułożenie tego gruntu zupełnie się zmieniło i przedstawia wspaniały i niezwykły widok, godny zobaczenia. Zachodzi też obawa, że przy większym deszczu rozluźni się także podnóże tej góry i zasypie drogę, tor kolejowy, kilka domów i rzekę Muszynkę, jest jednakże nadzieja, że zarząd gminy Muszyny i starostwo w Nowym Sączu nie dopuszczą do takiej katastrofy.

Plaga dzików. Gazdowie w Piwnicznej, mieszkający na granicy wsi Młodowia i Rytra, z powodu masy dzików narażeni są na olbrzymie straty w plonach rolnych. Co bowiem nie zgniło z powodu ulewnych deszczów, zniszczyły dziki.

Kurs gospodyń wiejskich. Z Łańcuta donoszą nam, że z dniem 10 października 1913 rozpoczyna się kurs ośmio-miesięczny w powiatowej szkole gospodyń wiejskich w Albigowej obok Łańcuta, w której dziewczęta, córki gospodarzy, kształcić się będą we wszystkich gałęziach gospodarstwa domowego, obok kierunku opartego na zasadach religijnych i narodowych. Podania należy wnosić do 29 września b. r. do Wydziału powiatowego w Łańcucie. Warunki: a) rozpoczęty 16 rok życia, b) ukończenie szkoły ludowej, c) pozamiejscowe kandydatki muszą być umieszczone w internacie istniejącym przy szkole, w którym utrzymanie obliczone jest na 24 kor. miesięcznie, d) ubogie kandydatki chcące być przyjętemi na kost powiatu, muszą do podania o przyjęcie dołączyć świadectwo ubóstwa.

Ósmy wylew Sanu. Donoszą z okolic Przemyśla, że San wylał w tym roku po raz ósmy. Jest to niepamiętna ilość wylewów tej rzeki w jednym roku, a stanowi jeden dowód więcej, jak gwałtownie potrzebne jest w naszym kraju rolniczym uregulowanie rzek, wyrządzających milionowe straty włościanom.

Napad na pocztę w Brzuchowicach. We wtorek dnia 16 września po godzinie 10 wieczorem, przyszło 3 przyzwoicie ubranych mężczyzn do urzędu pocztowego w Brzuchowicach, koło Lwowa, i zwrócili się do pocztmistrzyni z żądaniem, aby pozwoliła im zatelefonować. Spóźnili, twierdzili, do pociągu, chcą więc zatelefonować do Lwowa po samochód. Pocztmistrzyni odmówiła temu żądaniu, mówiąc, że w godzinach pourzędowych nie wolno jej puszczać nikogo do telefonu. Nieznajomi zaczęli wówczas wyłamywać okno, więc pocztmistrzyni wysłała przez inne okno służącą z poleceniem, aby ta zawezwała żandarmeryę. Żandarmi nadeszli na czas, podejrzani natręci nie zdołali bowiem jeszcze wyłamać krat okna, wszyscy też wpadli w ręce żandarmów.

Bydło galicyjskie na wystawie w Wiedniu. W Wiedniu urządzoną jest obecnie wystawa bydła hodowlanego i użytkowego, połączona z wystawą specyalnych maszyn rolniczych. Wystawa, urządzona przez Towarzystwo rolnicze w Wiedniu, obejmuje także dział galicyjski, mianowicie wystawę bydła czerwonego polskiego i nizinnego, wystawionego przez c. k. Towarzystwo rolnicze w Krakowie. Bydło galicyjskie zwraca powszechnie uwagę znawców.

Nieszczęsny lekarz. Przed niespełna dwoma laty otrzymał dymisyę lekarz miejski w Kecskemet, na Węgrzech, Dr Karol Molnar, a powodem tego była długotrwała choroba, której nabawił się podczas forsownego i szarpiącego nerwy urzędowania. Po przyjściu do względnego zdrowia, Molnar rozpoczął praktykę prywatną, która jednakże bardzo ujemnie wpływała na stan jego zdrowia. W ostatnich czasach zauważyli chorzy, że lekarz objawia ogromne zdenerwowanie i niejednokrotnie nawet myli się poważnie. Dr Molnar, zdając sobie z tego sprawę, napisał niedawno temu list do jednego z najwybitniejszych lekarzy chorób nerwowych w Wiedniu, polecając mu pewnego chorego. W liście prosił profesora, aby chorego, który zgłosi się do niego, zbadał możliwie najdokładniej, wyniki zaś badania zakomunikował listownie pod jego adresem. Rzeczywiście w oznaczonym dniu przybył do profesora wiedeńskiego zapowiedziany chory, którym był sam... Molnar. Profesor, nie podejrzewając kogo ma przed sobą, zbadał pacyenta dokładnie i tego samego dnia jeszcze wysłał pod adresem Dra Molnara w Kecskemet obszerny list, zawierający wyniki badania tej treści, iż choroba jest nieuleczalna i grozi obłędem. Dr Molnar po powrocie do domu znalazł już list profesora wiedeńskiego i, przeczytawszy go, zażył trucizny, która wkrótce pozbawiła go życia.

Dzielna dziewczyna. Ulewne lato tegoroczne zaznaczyło się wszędzie niemal strasznemi klęskami gospodarczemi, zbiory bowiem zniszczone — ponadto powylewały rzeki, niszcząc gdzieniegdzie cały dobytek. W pewnej wsi, pod Brześciem litewskim, jak donoszą pisma wileńskie, wezbrane fale przerwały groblę i zalały całą wieś. Mieszkańcy zaczęli uciekać na okoliczne wzgórza.



W jednej chacie leżała stara, chora obłożnie kobieta, która o własnych siłach nie mogła wstać z łóżka. Gdy woda wtargnęła już do izby, córka wzięła chorą matkę na ramiona i weszła w spienione fale, kierując się ku wzgórzom. Woda sięgała jej miejscami po piersi, fale niosły dokoła belki i deski z zerwanych mostów — dzielna dziewczyna jednak cudem uniknęła niebezpieczeństwa i zdołała uratować matkę. Moment ten przedstawia nasz obrazek.

Niezwykła burza. Dn. 10 b. m. około godz. 4 z rana przeszła nad Warszawą i okolicą niezwykle gwałtowna burza. Błyskawice oświetlały niebo przez pół godziny bez przerwy; można było przy ich blasku czytać nieustannie. Błyskawicom towarzyszył huk grzmotu ciągłego, ani na chwilę nieustającego.

Mieszkańcy Warszawy zrywali się; budzono się w przestrachu, w obawie przed jakąś katastrofą. — Z okolic Warszawy nadchodzą wieści o szkodach, wyrządzonych przez nawałnicę. We wsi Zbikowie pod Pruszkowem piorun uderzył w nowo wznoszony kościół i strzaskał wieżę. Tamże inny piorun uderzył w oborę i zerwał dach, który spadając, przygniótł kilkanaście sztuk bydła, zabijając je, lub kalecząc. We wsi Włochach, przy stacyi kolejowej, wicher obalił olbrzymią topolę. Wzdłuż toru kolejki wilanowskiej huragan wyrwał z ziemi kilka słupów tetegraficznych, które zawisły na drutach.

Przybór Wisły pod Warszawą. Po raz piąty w tym roku nastąpił znaczniejszy przybór Wisły pod Warszawą. Obecnie przybór dosięgnął 15 stóp, skutkiem czego łąki okoliczne ponownie znalazły się pod wodą. Takiego wysokiego stanu wody w ciągu całego lata, jak w roku bieżącym, nie pamiętają najstarsi ludzie. Zwykle stan wody w lecie trzymał się na poziomie 2 | 3 stóp.

Arcybiskupi warszawscy. Niedawno dostała Warszawa dziesiątego z kolei arcypasterza, odkąd po rozbiorze Polski zamiast prymasów zaczęli rządzić sprawami duchownemi biskupi i arcybiskupi-metropolici. Pierwszego arcypasterza ks. Józefa Bończe-Miaskowskiego, witała Warszawa w roku 1799; dziewiątego arcybiskupa - metropolitę warszawskiego ks. Wincentego Chościak - Popiela, który najdłużej ze swych poprzedników zasiadał na stolicy arcybiskupiej, bo około 30 lat, powitano w archikatedrze warszawskiej w dn. 10 czerwca 1883 r.; obecny ks. Aleksander Kakowski jest dziesiątym z rzędu arcybiskupem warszawskim.

Koronacya cudownego obrazu. We Sulisławicach, w powiecie sandomierskim w Królestwie, odbyła się dnia 8 b. m. uroczystość koronacyi cudownego obrazu Matki Boskiej. Przy olbrzymim, sięgającym ćwierci miliona napływie pobożnych, przy pięknej, słonecznej pogodzie, o g. 10 zrana wyruszył procesyonalnie, ustawiony według programu orszak do namiotu umyślnie zbudowanego przy drodze do Wiązownicy. Podczas procesyi intonowano pieśń »Gwiazdo śliczna, wspaniała«. W namiocie, po odczytaniu bulli papieskiej po łacinie przez Ks. prałata Rewerę i po polsku przez Ks. kanonika Starzomskiego, biskup sandomierski Ks. Ryx dokonał ceremonii koronacyi cudownego obrazu, poczem podniośle przemówił do zebranych. Następnie Mszę św. odprawił Ks. Jaworski. O g. $12^1/_2$ po południu orszak powrócił w tym samym porządku do kościoła, gdzie miejscowy proboszcz, Ks. Zajączkowski, zawiesił obraz na ołtarzu, a biskup kielecki, Ks. Łosiński odprawił mszę pontyfikalną. Podniosła uroczystość zakończyła się o godz. 2 i pół po południu.

Obłąkana w kościele. W Lublinie, w Królestwie, w kościele św Rocha wydarzył się smutny fakt znieważenia kapłana, który mógłby się skończyć rozlewem krwi w świątyni. O g. 7 rano przed rozpoczęciem uroczystości koronacyi obrazu N. M. P. kilkadziesiąt osób przed wielkim ołtarzem przystąpiło do komunii św. Wśród nich znalazła się chora umysłowo Ludwika Bochowiczowa, która niestosownem zachowaniem się zwróciła uwagę udzielającego komunii kapłana. Kiedy ksiądz ominął ją, Bochowiczowa głośno upomniała się o komunię dla siebie, lecz kapłan odmówił. Wówczas Bochowiczowa zerwała się z klęczek, dopadła do presbiteryum i rzuciła się na kapłana, idącego z puszką pełną komunikantów. Znieważony dwukrotnie kapłan wzniósł w górę puszkę, aby uchronić ją od zniewagi. Bochowiczowa dosięgła jednak puszki i wyrwała ja, rozsypując komunikanty na posadzkę. Zebrany w kościele tłum, widząc co się dzieje, przybrał w jednej chwili groźną postawę i rzucił się na obłąkaną. Zmasakrowanoby ją, gdyby nie znieważony kapłan i inni księża nadbiegli z pobliskiej zakrystyi, którzy stanęli w obronie nieszczęśliwej i uspokoili tłum. Bochowiczową w poszarpanem ubraniu wydobyto z rąk tłumu, przeprowadzono do zakrystyi, gdzie przybyła na wieść o wypadku policya aresztowała ją.

Zgon biskupa żmudzkiego. W Berlinie zmarł po nieudałej operacyi wydobycia kamieni żółciowych biskup żmudzki ks. Kasper Cyrtowt. Zwłoki po uroczystem nabożeństwie żałobnem przewiezione zostały do Kowna. Gaspar Felicyan Cyrtowt urodził się w Wewirżanach na Żmudzi w kowieńskiej gubernii 1841 r. z rodziny włościańskiej. Gimnazyum ukończył w Szawlach, poczem wstąpił do seminaryum duchownego w Worniach, następnie ukończył Akademię duchowną w Petersburgu. Mianowano go zaraz profesorem seminaryum duchownego w Kownie, a następnie profesorem i inspektorem Akademii duchownej w Petersburgu. Stąd powołany został na rektora seminaryum duchownego w Kownie i mianowany sufraganem dyecezyi żmudzkiej. Niejednokrotnie rządził dyecezyą jeszcze za życia biskupa Pallulona, a po śmierci tegoż, w maju r. 1910, Papież mianował go biskupem dyecezyi żmudzkiej z rezydencyą w Kownie.

O kościół dla Maryawitów w Wilnie. Duchowny maryawicki, Tulaba, prosił Radę miejską wileńską o udzielenie placu pod budowę kościoła. Rada odrzuciła tę prośbę, gdyż Maryawitów jest zaledwie kilku. Tulaba prosił o wstawiennictwo gubernatora, który uczynił odpowiednią propozycyę. Ale i wówczas Rada również odmówiła. Gubernator tedy orzekł, że uchwała Rady rozmija się z interesami części mieszkańców i zgłosił do ministerstwa wniosek przymusowego wyznaczenia dla Maryawitów gruntu miejskiego. Tak to rząd rosyjski popiera Maryawitów na każdym kroku.

Pancerne wagony pocztowe będą wkrótce krążyły na niektórych liniach kolejowych w Rosyi, mianowicie na Mikołajewskiej, Kurskiej, Aleksandrowskiej i Niższonowogrodzkiej. Każdy wagon, obity stalowym pancerzem, będzie rozdzielony również pancerną przegrodą na dwie połowy. Jedna z nich przeznaczoną jest dla personalu służbowego i konwoju, druga dla poczty i urzędników pocztowych. Okien nie będzie wcale. W razie przewrócenia się wagonu na bok podczas katastrofy, znajdujący się wewnątrz będą mogli wyjść przez umyślny otwór w dachu.

Bezczelność rosyjskich złodziei. Przed kilku dniami w Petersburgu wiceprokurator peterburskiego sądu okręgowego, Nienarokomow, spostrzegł na ulicy, iż dwóch ludzi przyparło do ściany trzeciego i rewidują mu kieszenie. Na zapytanie Nienarokomowa:

— Co z nim robicie?

Nieznajomi odpowiedzieli:

— Nie widzisz, że kradniemy?

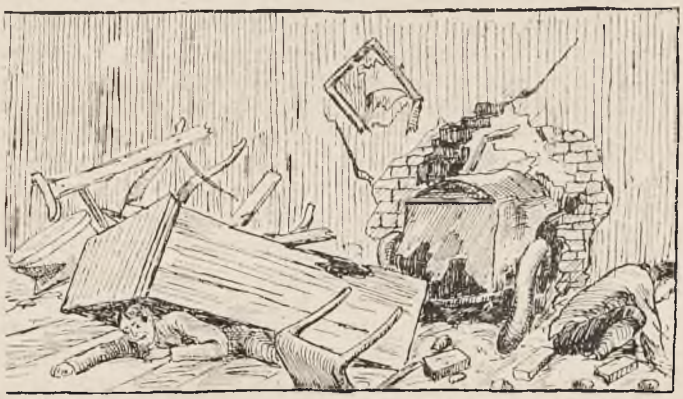
Wiceprokurator przy pomocy stróżów aresztował rabusiów i odesłał ich do cyrkułu.

Górą wódka w Rosyi! Ministerstwo skarbu w Petersburgu, ogłosiło ciekawe obliczenia, dotyczące sprzedaży gorzałki. Z obliczeń tych pokazuje się, że pijaństwo w Rosyi szerzy się i zwiększa w zastraszający sposób. Oto liczby: w r. 1910 sprzedano w szynkach rządowych 89 milionów i 542 tysiące wiader gorzałki; w następnym, 1911 roku, sprzedano o dwa z górą miliony wiader więcej; a w roku zeszłym, 1912 sprzedano aż 96 milionów wiader, czyli o 4 miliony wiader więcej, niż w roku poprzednim.

Rząd otrzymał na czysto w roku zeszłym ze sprzedaży gorzałki aż 626 milionów rubli. A w tym roku 1913, dochód będzie jeszcze większy, bo przez pierwsze półrocze, od stycznia do lipca, sprzedano w szynkach rządowych znacznie więcej wódki, niż w tym samym czasie w roku zeszłym.

Opatrznościowy zegar. Pisma poznańskie opowiadają o następującym niezwykłym wypadku: W miejscowości Bonikowie pod Odolanowem, niejaki Jan Sztukowski, 85 letni starzec, cierpiąc wielki niedostatek i nie mając już żadnych środków ratunku, postanowił sprzedać w tych dniach swój stary zegar za cenę 6 marek. Przy zdejmowaniu zegara ze ściany, niespodzianie wypadło z niego 200 marek, w papierach i złocie. Nie wiadomo kto pieniądze tam schował, czy sam Sztukowski, niegdyś za lepszych czasów, zapominając następnie o tem, czy też jego zmarła przed laty nieboszczka żona. W każdym razie sędziwy zegar poratował staruszka...

Dom zburzony przez samochód. W pobliżu Kolonii w Niemczech najechał samochód na pewien dom, przebił cienką ścianę i wpadł do mieszkania, gdzie trzy osoby odniosły śmiertelne rany.



Dom zawalił się częściowo, nie sprawiając już dalszych spustoszeń. Niezwykły ten wypadek przedstawia nasz obrazek.

Klęski balonów niemieckich. Nie wiedzie się Niemcom z balonami, które buduje ich rodak Zepelin. Niedawno temu było znowu nieszczęście z jednym balonem Zepelina zakupionym przez rząd prusko-niemiecki dla wojska okrętowego. Balon ten odbywał próbne obroty nad morzem Północnem. W łodzi przywiązanej do balonu znajdowało się paru oficerów i kilkunastu żołnierzy. Przez kilka godzin balon latał dobrze. Aż nagle zawiał duży wiatr, balon zaczął opadać i runął w wodę. Tylko 7 miu żołnierzy zdołało się uratować.

Katastrofa latawca. Latawiec wojskowy dokonywujący próbnych lotów na polu pod Koblencyą, miastem niemieckiem nad rzeką Renem, spadł nagle na gromadę ludzi przyglądających się wzlotom. Cztery osoby zostały zabite na miejscu, a dwie umarły przewiezione do szpitala. W ścisku poraniono kilkanaście osób. Dwaj śmiałkowie, którzy byli na latawcu, ocaleli.

Dom zwalony przez wybuch gazu. W mieście Koburgu, w Niemczech, wskutek wybuchu gazu runął dom z 20 mieszkańcami. Dzienniki berlińskie podają następujące szczegóły tego wypadku. W niedzielę wieczorem zawiadomiono gazownię, że przed owym domem popsuł się przewodnik gazowy. Gazownia wysłała dla naprawienia przewodnika mechanika z kilku robotnikami. Mechanik spostrzegł niebezpieczeństwo i wydał rozkaz obudzenia śpiących już lokatorów domu. W tem wystrzelił z ziemi olbrzymi płomień, a bezpośrednio potem nastąpił gwałtowny wybuch. Dom zachwiał się i zawalił z łoskotem. Mechanika nacisk powietrza odrzucił na znaczną odległość i odniósł on rany ciężkie. Belkowanie domu zaczęło się pslić. Straży ogniowej udało się pożar ugasić. Straż ogniowa i oddział wojska, który nadszedł niebawem, rozpoczęły poszukiwać w gruzach zagrzebanych. Z pod gruzów wydobyto 14 osób zabitych. Cztery osób z pośród ocalonych odwieziono do szpitala.

Podejrzane pogrzeby. Pisma niemieckie donoszą: Na bawarsko szwajcarskiej granicy zdarzył się dziwny wypadek. Graniczną drogą szedł ze szwajcarskiej strony na bawarskie terrytoryum orszak pogrzebowy. Niemieckim strażnikom celnym wydało się podejrzanem, że w ostatnich czasach coraz więcej Szwajcarów grzebie się na niemieckiej ziemi. Zatrzymali przeto orszak pogrzebowy i otworzyli trumnę, w której zamiast zwłok znaleźli kilka centnarów sacharyny, materyału słodzącego, zastępującego cukier. Wobec tego zrewidowano i »pogrążoną w smutku rodzinę i krewnych«, przy których również znaleziono nieopłacone towary, wobec czego zaprowadzono całe towarzystwo pogrzebowe do aresztów.

Zabobonni ludzie. Niedawno temu w Rozdzieniu, na Śląsku pruskim, cieśla Józef Klejnot z Piasków pod Pszczyną, zatrudniony w hucie »Pawła« z obawy, że utraci pracę, powiesił się na pasku, który potem zaginął. Pasek ten sprzedawał pewien robotnik po kawałku jako »talizman«, który przynosi szczęście. Interes szedł tak dobrze, że niebawem sprzedał cały pasek. Wówczas oderżnął kawał pasa z transmisyi i sprzedawał dalej. I na ten pasek nie zabrakło głupich, zabobonnych nabywców.

Usiłowane morderstwo na sali sądowej. W miejscowości Plauen w Saksonii, odbywała się w tamtejszym sądzie rozprawa przeciwko niejakiemu Klausnitzerowi, oskarżonemu o ciężkie uszkodzenie ciała. Kiedy na salę wszedł główny świadek tkacz Steinbach, oskarżony wyjął nagle rewolwer i strzelił dwa razy do świadka, raniąc go w szyję. Na sali powstał popłoch. Kilka osób rzuciło się na Klausnitzera i ubezwładniło go.

Galicyjscy robotnicy rolni w Bułgaryi. W ostatnich czasach daje się spostrzegać pewien ruch galicyjskich robotników rolnych do Bułgaryi, wywołany niewątpliwie, przynajmniej w znacznej części, przez ogłoszenia biura pośrednictwa pracy »Mercur« w Zofii. Wydarzyło się jednak kilkakrotnie, że robotnicy galicyjscy, którzy w nadziei łatwiejszego zarobku udali się do Bułgaryi, nie znaleźli tam odpowiedniego zajęcia. Namiestnictwo ostrzega przeto robotników rolnych, aby nie wyjeżdżali na zarobek do Bułgaryi, nie zawarłszy poprzednio umowy o najem pracy i nie zapewniwszy sobie w ten sposób zarobku, o który w obecnej chwil w Bułgaryi nie łatwo.

Były sułtan umierający. Były sułtan Abdul Hamid ciężko zachorował. Stan zdrowia jego jest beznadziejny, lada chwila podobno spodziewają się jego śmierci.

Okrucieństwa Greków. Nie ulega wątpliwości dla znawców Bałkanu, że nienawiść i okrucieństwo to wiekowe nałogi wszystkich tamtejszych ludów i plemion jednakowo. Wszyscy oni pod tym względem jednacy. Znamy już okrucieństwa tureckie (czyimże bowiem wynalazkiem jest obcinanie uszu i nosa jeńcom, jeżeli nie tureckim?!), serbskie, bułgarskie. Rumuńskie nie poszły na wystawę świata, bo wojsko rumuńskie, jak wiadomo, nie powąchało całkiem prochu, zabierając Bułgarom kraj bezbronny. Najmniej stosunkowo słyszeliśmy dotąd o okrucieństwach Greków, którzy szczycą się swoją starą cy-

wilizacyą. Ta dobra sława Greków pochodziła stąd, że umieli oni z prawdziwie greckim sprytem zakrywać własne gwałty i krwawe rzezie, a natomiast w niebogłosy krzyczeli o okrucieństwach tureckich, a potem bułgarskich. Pod względem sprytu i wywodzenia w pole przeciwnika nikt, jak wiadomo Greków nie przewyższy: i w ostatnich wypadkach umieli oni doskonale obełgiwać prasę europejską i przedstawiać się w opinii Europy jako »łagodni barankowie« w stosunku do wściekłych wilków tureckich i bułgarskich...

Wreszcie Bułgarom, którym Grecy szczególnie dojedli swą przysłowiową »wiernością i łagodnością grecką«, było tego za dużo. Postanowili oni za wszelką cenę zdemaskować ich niegodziwość i przedstawić Europie prawdziwe dokumenty, z których wynika, że Grecy nie są bynajmiej niewinnymi barankami i że podczas ostatniej wojny dopuszczali się oni w stopniu większym, niż inne strony walczące bezprzykładnych wprost rzezi, gwałtów i wreszcie oszustw... Oto w nadwornej drukarni w Sofii, stolicy Bułgaryi, wyszła broszura, zawierająca na 22 stronicach, ustępy z listów znalezionych u kuryera 19 pułku siódmej dywizyi greckiej, przejętych przez oddział bułgarski. Do greckich tekstów dodano przekład francuski. Zaraz pierwszy list jest prawdziwie bezstronny. Żołnierz grecki (są podpisy i adresy) donosi rodzinie, że Grecy i Bułgarzy podpalają sobie wzajemnie wsi, opuszczone przez ludność i wzajemnie urządzają rzezie wśród jeńców (»oni wyrzynają, my wyrzynamy«). Przyznaje, że jego oddział wziął 1200 jeńców bułgarskich, a pozostało z nich przy życiu ledwie 47... Drugi z kolei list informuje nas, że rżnięto i palono, co się dało po drodze. Oto nr. 3 opowie nam o wykłuciu jeńcom bułgarskim oczu i o zabiciu Bułgarki, wziętej »do niewoli«. Nr. 4 donosi o ogólnych rzeziach masowych. Nr. 5 o spaleniu wielu wsi. Nr. 6 przechwala się, że zabito wszystko co niezdołało uciec zawczasu. Nr. 7 donosi o podpalaniu i zabijaniu skrytobójczem (»zabijamy, gdzie znajdujemy jednego lub dwóch«). Nr. 8 pisze: »we wszystkich okolicach, jakie zajęliśmy, nie zostało ani jednego Bułgara« — autor nr. 11 chełpi się, że »ani kot się nie wyśliźnie« i t. d.

Obecnie znów rząd bułgarski otrzymał pewną wiadomość, że 2.500 Bułgarów władze greckie przewiozły na małą wyspę niezamieszkaną na morzu Egejskiem, gdzie ich część wyginęła z głodu, a innych zabito. Tak wygląda w świetle prawdziwych dokumentów, niewinność greckich baranków! A jest to zaledwie maleńka cząstka ich potwornych gwałtów i rzezi, dokonywanych na bezbronnej ludności tureckiej i słowiańskiej.

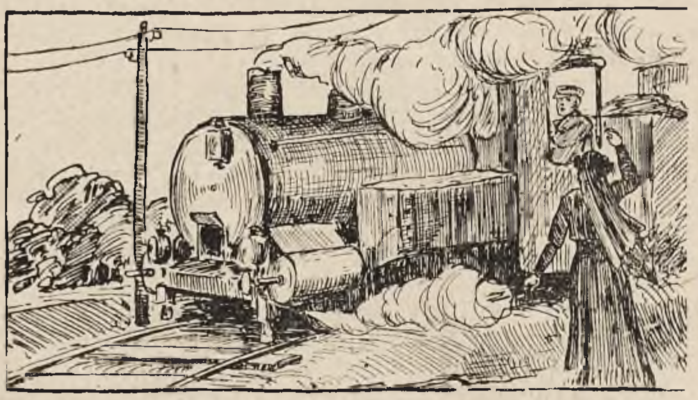
Orzeł wzięty za latawca. Nieraz już się zdarzało, że szybującą wysoko w powietrzu maszynę latającą, brano za orła. W Charenton, pod Paryżem, stało się w tych dniach odwrotnie. Na wysokości mniej więcej 600 metrów, zjawił się olbrzymi orzeł i zataczając w powietrzu łuki, zwrócił na siebie uwagę mieszkańców miejscowych. Gromadka ludzi, zebrawszy się w polu, śledziła uważnie ten lot, będąc pewna, że przypatruje się latawcowi i usiłowała odgadnąć nazwisko śmiałego lotnika, gdy nagle orzeł, pędem strzały spuścił się ku gromadce. Wówczas dopiero spostrzeżono omyłkę. Kobiety i dzieci rozbiegły się przerażone w różne strony, orzeł zaś tymczasem, jakby zadowolony za spłatanego figla, poszybował w dalszą drogę.

W szpitalu dla obłąkanych. Słynny uczony francuski, Dr Brouardel, zwiedził w tych dniach prywatny zakład dla obłąkanych w pobliżu Paryża. Kazał najpierw przedstawić tam sobie cały szereg chorych, obejrzał następnie zakład na własną rękę. »Panie profesorze, — zapytał go po skończeniu wizyty dyrektor zakładu — jakież wrażenie odniósł pan u nas?« »Wyśmienite! — była odpowiedź. — Stwierdziłem kilka nadzwyczaj zajmujących przykładów. Był tam między innymi w ogrodzie mały człowiek, ubrany szaro, w kapeluszu bardzo śmiesznym. Swojemi pytaniami bardzo mnie bawił. To najzabawniejszy waryat, jakiego w życiu poznałem. Czy może mi pan powiedzieć, kto to jest?«

»Tak, — odpowiedział dyrektor — jest to sławny pisarz Paweł Bourget; zbiera on tu materyał do swojego najświeższego romansu«. W kwandrans później zjawia się Bourget. »Panie dyrektorze! — rzecze. — Uszczęśliwiony jestem, znalazłem bowiem waryata, który doskonałym będzie typem do mojej powieści. Jest to człowiek chudy, w paltocie i cylindrze«. »To profesor Brouardel, sławny psycholog« objaśnił go dyrektor.

O służbę wojskową kobiet. Młoda studentka uniwersytetu paryskiego, panna Fischer, córka profesora uniwersytetu rozpoczęła w Paryżu agitacyę wśród swych rówieśniczek za służbą wojskową kobiet, twierdząc, że zarówno bogate, jak i ubogie panny, w wieku, gdy czekają na męża, chętnie zgodzić się winny na dwuletnią służbę dla ojczyzny. Projekt znalazł poklask i niezadługo zredagowano petycyę do rządu, na której w krótkim przeciągu czasu znalazło się 12 tysięcy podpisów, o umożliwienie służby wojskowej dla kobiet. Petycyę tę wręczył jeden z posłów prezydentowi ministrów, a ten ministrowi wojny. Ciekawy projekt oświadcza się za dwuletnią służbą kobiet w wieku od 18—20 roku życia. Oddziały kobiece mają być w razie wojny użyte do służby wewnętrznej kraju, a na ochotnika i w linii bojowej. Jaki będzie los projektu, dziś przewidzieć się nie da. Obok zwolenników, wytworzył się już bowiem zastęp poważnych przeciwników.

Zemsta matki. Maszynista kolejowy w Filadelfii, Levis-Faber, dostał nagle napadu szału, podczas którego chciał wymordować całą swoją rodzinę, a potem zastrzelił się. Jeszcze w początkach maja był zupełnie zdrów. W maju zdarzyło mu się nieszczęście, iż na skrzyżowaniu ulic przejechał sześcioletnie dziecko. Stwierdzono, że nie było to bynajmniej z jego winy, ale matka przejechanego dziecka nie chciała tego Faberowi darować.



Co dzień stawała na miejscu, gdzie Faber jej syna przejechał, w czarnej sukni, a gdy Faber na swojej lokomotywie nadjeżdżał, mściwa matka podnosiła rękę i wskazywała palcem Fabera. Nie pomagało nic, że Fabera przenoszono na inne linie. Zawzięta kobieta wszędzie go prześladowała. Po kilku tygodniach Faber dostał melancholii, a wreszcie zabił się. Mściwa matka postawiła na swojem.

Olbrzymia budowla. Nowy Jork wzbogaci się o budynek mieszkalny, który tylko o kilkadziesiąt metrów niższy jest od wieży Eiffla w Paryżu. Jest to gmach nowojorskiego Towarzystwa ubezpieczeń »Equitable«. Ma on 300 metrów wysokości, tworzących 62 piętr. — Jest to najwyższy gmach w Nowym Jorku. Autora planów tego gmachu, inżyniera Burnhama, pytano niegdyś, czy »drapacze nieba« dadzą się stawiać bezpiecznie na miękkim piasku chicagoskim. Burnham odpowiedział: »Robimy fundamenty również z zelaza i betonu i nadajemy im takie rozmiary, że domy ani o centymetr nie mogą się obniżyć. Gdzie jest grunt skalisty, tam bez trudu wybuduję dom tak wysoki, jak wieża Eiffla«. Burnham znalazł w Nowym Jorku grunt skalisty i zbudował »wieżę Eiffla«. Zarobił na tem pół miliona dolarów. Gmach składa się najpierw z olbrzymiego sześcianu żelazno-betonowego, (35 pięter), z 40 oknami frontu na wszystkie 4 strony. Otrzymano w ten sposób 5600 okien. Nad tą główną budową »parterową« wznosi się druga, o szerokości 30 okien, a wysokości 16 pięter. Ogółem 1920 okien. Na każdym rogu, 200 metrów ponad brukiem ulicznym, stoją pawilony na kolumnach, uwieńczone olbrzymiemi latarniami. Wreszcie na gmachu środkowym, 16-piętrowym, stoi w pośrodku trzeci, jeszcze węższy, o 9 oknach frontu z każdej strony, a doprowadzony do 9 pięter. Tu okien jest 540. Nad wszystkiem wznosi się dach w postaci 50-metrowej piramidy z 50 oknami. Ogółem olbrzym stalowo-betonowy posiada 8090 okien. Na szczycie ściętej piramidy wznosi się pawilon kolumnowy wysoki i szeroki, jak dom czteropiętrowy nakryty kopułą, na której szczycie znajduje się olbrzymi maszt do chorągwi. Pawilon kolumnowy otoczony został naokoło tarasem, z którego można spoglądać na Nowy Jork. Podobne tarasy, tylko szersze, otrzymały obie niższe części domu. Prawdopodobnie będą tam założone ogrody. Z ulicy nie widać wcale środkowej i górnej części gmachu. Środkowa część jest widoczna dopiero ze znacznej odległości i przedstawia się jako »drapacz nieba«, wznoszący się na 150 metrów wysokiej górze. »Górą« tą jest dolna część budynku. Wskutek podziału na trzy zwężające się części, budynek przedstawia się lepiej niż dotychczasowe »drapacze nieba«, przypominające swoim wyglądem niekształtne olbrzymie wieżyce.

Największy dworzec na świecie. Po dziesięcioletniej pracy otworzono niedawno w Nowym Jorku w Ameryce dworzec, który bez wątpienia jest największym na świecie. Całą dzielnicę miejską zburzono, aby módz wystawić kosztem 900 milionów koron dworzec, który rozciąga się na przestrzeni 31 hektarów. Gmach stacyjny tego dworca nie dorównuje wprawdzie wysokością wielopiętrowym kamienicom amerykańskim, za to jednak imponuje swą rozciągłością; dwa piętra budynku, z czego jedno podziemne, ledwo wystają nad poziom ulicy. Przez dworzec biegnie 68 torów kolejowych, na które zużyto 54 kilometrów szyn a tory te obliczono na ruch tysiąca pociągów dziennie. Tory rozdzielono jak następuje: 26 torów na podziemnem piętrze przeznaczono dla pociągów miejscowych, 42 tory górnego piętra zarezerwowano dla ruchu pozamiejscowego. Nad tą olbrzymią, splątaną siecią torów, których fundamenty pochłonęły trzy miliony sześciennych metrów kamienia, czuwa jedna jedyna stacya sygnalizacyjna, odpowiedzialna za przyjazd i odjazd pociągów, wyrzucających dziennie przeszło sto tysięcy podróżnych. Stacya sygnalizacyjna, wysoka na cztery piętra, jest istnym cudem przemysłowej maszyneryi. Dwóch, nieustannie zajętych urzędników, ma do obsłużenia jeden 420 dźwigni, drugi 362; dźwignie te poruszane są zapomocą elektryczności a poruszają się tak lekko, iż jeden człowiek z łatwością może obsłużyć 40 zwrotnic.

Dzień pocałunku. Amerykanie mają — jak wiadomo — szczególną zdolność doprowadzania każdej rzeczy, nawet najbardziej ustalonej zwyczajami, do niezwykłych, które nam wydają się często dziwaczne, rozmiarów. W pismach amerykańskich czytamy wiadomość, stanowiącą nowy dowód tej śmiałej, iście amerykańskiej niezwykłości postępowania. Dzisiaj na całym świecie urządza się na różne cele humanitarne i narodowe t. zw. »dni kwiatka«. Otóż Amerykanie postanowili pójść w tym kierunku i wymyślili »dzień pocałunku«. Taki »dzień pocałunku« odbył się niedawno w mieście Salem (stan Ohio) na budowę miejscowego szpitala dla kobiet. Panny sprzedawały po ulicach prawdziwe pocałunki mężczyznom po 1 dolarze. Młode i ładne panie były po prostu oblężone. Niektórzy panowie, zwłaszcza starsi, płacili nawet po 5 dolarów za jednego całusa i kupowali te całusy kilkakrotnie... W ten prawdziwie amerykański sposób zebrano 40 tysięcy dolarów na budowę szpitala dla kobiet.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Wawrzyniec Pietrucha w N.: Dziękujemy serdecznie za pamięć i łączymy pozdrowienia. — Michał Jaworski w W.: Nadesłanego artykułu ze względu na konfiskatę umieścić nie możemy. Katarzyna Nawrocka w K.: »Odpowiedź« słuszna, ale nie chcemy jej umieścić, boby znów autor chciał dać odpowiedź, wskutek czego wywiązałaby się polemika. — Szczepan Orzech w K.: Nadesłane utwory już do Kalendarza się spóźniły, ale umieściliśmy tam coś z poprzednich. Dziękujemy. — Maciej Tokarczyk w B.: Listonosz powinien doręczyć w przeciągu 24 godzin od chwili nadejścia; jeżeli więc dzieje się inaczej, to gdy to jest listonosz rządowy, trzeba zwrócić uwagę na tę niewłaściwość pocztmistrzowi, a gdyby nie skutkowało, wnieść zażalenie do c. k. Dyrekcyi poczt we Lwowie. Listonosza, gdy nim jest posłaniec gminny, powinien napomnieć wójt.

Potwierdzenia prenumeraty.

Kogut Ludwik z M. 1 K., Malinowski Jan z L. 2 K., Pacyga Jakób z O. 2 K., Mędrakówna Władysława z K. 4 K., Kowalski Andrzej z Ameryki 6 K. 13 hal., Związek katol. młodzieży robotniczej z C. 4 K., Skrzypkówna Anna z I. 1 K., Bojdo Kazim. z D. M. 1 K., Szyszka Paweł z P. 2 K., Matakiewicz Antoni 1·20 K, Kadłuczka Józef z A. 2 K., Piotrowska Karolina z H. 2 K., Wojciech Stawowy z Ameryki 10 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 23 września:

Pszenica	Kor.	10·45	do	10·90	za 50 kg:
Żyto	„	8 —	„	8·60	„
Jęczmień	„	7·10	„	8·15	„
Owies	„	7·75	„	8·50	„
Otręby pszenne	„	5·60	„	5·80	„
Otręby żytnie	„	5·50	„	5·70	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 23 września:

Buhaje	Kor.	80	do	300	za sztukę
Woły	„	229	„	400	„
Krowy	„	130	„	270	„
Jałówki	„	95	„	200	„
Cielęta	„	30	„	73	„
Owce i kozy	„	26		33	„
Świnie (bita waga)		160	„	182	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA historyczna.

(Ułożył Paweł Wieczorek).

				r		r				
				y	a	g				
				p	a	p				
				t	a	t				
e	e	e	e	t	a	t	w	e	k	d
	o	o	o	o	a	o	o	o	o	
i	i	i	i	i	a	i	i	i	i	i
				ó	a	ó				
				c	a	c				
				r	a	r				
			ż	z	z	z	z			
			u	u	s	u	u			
			s	s	j	s	s			
			n	n	"	n	l			
		k	k	k	k	k	k	k		
	w	w	w	w	w	w	c	c	c	
l	l	w	r	h	w	b	s	s	s	g
j	o	i	k	1	ń	8	6	r	3	s

Z podanych liter ułożyć nazwiska jedenastu bohaterów powstania styczniowego.

2. SZARADA.

(Ułożył Wł. Łukasik)

Pierwsze trzecie produkt wody
Lub złączone węzłem zgody,
Dwie osoby; połącz czwarte
Z pierwszem a masz znaną kartę,
Trzecie drugie w dzień bywa,
W całości człowiek używa
Rozrywki lub też zabawy,
Bo przedstawia różne sprawy.

3. ZADANIE LICZBOWE.

(Ułożył Jan Malinowski).

1	2	3	4	5	6	7	8	9
1	2	3	4	5	6	7	8	9
1	2	3	4	5	6	7	8	9
1	2	3	4	5	6	7	8	9
1	2	3	4	5	6	7	8	9
1	2	3	4	5	6	7	8	9
1	2	3	4	5	6	7	8	9
1	2	3	4	5	6	7	8	9
1	2	3	4	5	6	7	8	9

Cyfry te tak rozstawić, aby suma każdego rzędu krzyżowo, pionowo i poziomo 45 wynosiła.

4. TAJEMNICZY BIŁET.

(Ułożyła Zofia Augustowska).

PIOTR RYDOYLECKI

Odgadnąć zajęcie tej osoby.

5. SZARADA.

(Ułożył Władysław Łukasik).

Drugie pierwsze rumak skacze
Na pastwisku raźno, żwawo,
Znać, że go Arabów trzecie
Pierwsze na świat ten wydała.
Całość — niezdobna murawa,
Nie pachnie tam wonne kwiecie,
Wiatr ognisty wyje, płacze,
Cała smutna, cała biała.

6. ZAGADKA KRYSZTAŁOWA

(Ułożyła Zofia Augustowska).

Podane litery poprzestawiać w ten sposób, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

	a	a	a	
p	p	k	k	k
a	e	o	o	o
w	w	k	r	r
	l	n	l	

Znaczenie wyrazów: 1) Zwierzątko morskie. 2) Tkanina. 3. Związek chemiczny.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, pięknie oprawną książkę

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 4 październ. 1913 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 37 »Roli«: 1. **Lokomotywa.** 2. **Elektryka.** 3. **Konzola.** 4. **Nasturcya.** 5. **Sas.** 6. **Tyrawa.** 6. **Panorama.** 8. **Pokrzywa.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania wszystkich zagadek nadesłali PP.: Marya Radlmesserówna, Jan Koza z S., Józef Waszek z J., Z. Oraczewska z Ż., J. Hirszberg z K., Kaz. Nekvapil z N. S., Janina Midowicz z S., A. Bezokówna z K. M.

Już po zamknięciu poprzedniego numeru nadeszły spóźnione rozwiązania z nru 36. PP.: Piotra Bochni z T., A. Szarka z S. W., A. Bezokówny z K. M.

Nagrodę p. t. ***Z chłopskiej niwy*** wylosował p. Józef Waszek z J.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.